

naddodrże

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 5 [662]

6 III — 19 III 1938 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

BYŁAM CHŁOPCEM

rozmowa
z MASTROIANNIM
sprawa hrabięgo k.

sukces czy porażka?
SCENY
miłosne

70 000? 700 000? Nikt nie prowadzi statystyki. Dlatego tak trudna jest odpowiedź na bądź co bądź ważne pytanie, ile jest w Polsce magnetowidów, zwłaszcza domowych. Jeszcze trudniej jest odpowiedzieć jakiego pochodzenia i typu jest ta aparatura?

W zgodzie z modą

Dopiero niedawno, z kilkuletnim opóźnieniem, do produkcji polskiego aparatu wideo zabrały się Zakłady Radiowe im. Kasprzaka w Warszawie. Na początek mają zaspokoić zapotrzebowanie instytucji oświatowych, placówek kulturalnych.

Na świecie domowe magnetowidy, jako ważny element kultury obrazkowej, mają teraz ważnego konkurenta — telewizję satelitarną. Ta zaś jeszcze obecnie, jak u nas magnetowid, jest pewnym luksusem.

W krajach socjalistycznych dawniej oceniano wideo jako rodzaj zabawki, na którą moda szybko minie. Dopiero obecnie w Związku Radzieckim, NRD, Czechosłowacji, Bułgarii zaczyna się myśleć o nadgonieniu utraconego czasu. Każdy z tych krajów czyni to na własną rękę, według swoich możliwości. Na ogół przez zakup licencji.

Zakłady im. Kasprzaka, które podejmuje produkcję domowego magnetowidu własnej konstrukcji, mają uzupełnić nie w postaci zamierzeń organizacyjnych, technicznych, ekonomicznych Zakładów Włókien Chemicznych „Stilon” w Gorzowie. Jest to fabryka, która ma największe w kraju doświadczenie w produkcji nośników magnetycznych do rejestracji dźwięku. Różnego rodzaju taśmy magnetofonowe produkuje od 1965 roku. Rząd przyjął jej ofertę na produkcję kaset wizyjnych.

200 tysięcy kaset WHS systemu PAL-SECAM zostanie wyprodukowanych w roku bieżącym, w przyszłym pół miliona, w roku 1990 — 2 miliony sztuk. Pierwsze kasety już zostały wyprodukowane i uzyskały pozytywną opinię. Odpowiadają średnim standardom światowym.

W październiku roku ubiegłego nastąpiło podpisanie umowy rządowej. Zapalono się zielone światło dla „Stilonu”. Pierwszy etap uruchomienia no-

wej produkcji, zamykający się w bieżącym roku, to konfekcja kaset z importowanych części i taśm. W każdej kasie cie zawarty jest wkład dewizowy w wysokości 3 dolarów amerykańskich. Od stycznia br. rozpoczął się drugi etap realizacyjny — 200 tys. kaset w całości wyprodukowanych w kraju z importowaną taśmą. Wsad dewizowy 2,5 dolara. Etap trzeci — od stycznia 1990 r. 2 mln kaset i z taśmą wyprodukowaną w kraju. Wsad dewizowy 1,5 dolara. Tyle kosztować będzie import niektórych surowców. Po 1990 roku, w czwartym etapie rozwoju produkcji, czyli w momencie rozpoczęcia wytwarzania folii poliestrowej, wsad dewizowy zmniejszy się do jednego dolara na 1 kasety E-180 wystarczającą na 3 godzinę nagrania.

Szybkie uruchomienie polskich kaset magnetowidowych, nieco później również taśm, jest zjawiskiem niezwykle ważnym. Obecne kłopoty: konieczność posłania dewiz na ich zakup w Pewexie, posiadanie tych środków na import prywatny, równie ważny fakt — wytwarzanie magnetowidów w kraju, przyczynia się do upowszechnienia tej techniki audiowizualnej. Kultura pozyska nowoczesny środek upowszechniania. Domowa magnetowizja stanie się bardziej dostępna, demokratyczna, przestanie być wyrazem luksusu.

Pomyślna realizacja tego programu będącego zaprzeczeniem zjawiska niemożności, zależna jednak jest nie tylko od chęci zespołów ludzkich zaangażowanych w tę sprawę. Wiele zależy również od możliwości płatniczych kraju i sprawności central handlu zagranicznego. Gorzowski „Stilon” podpisując umowę z Rządem, liczy na uzupełnienie linii technologicznych, na systematyczne dostawy importowanych surowców.

RYSZARD ROWIŃSKI



Dorota Wierzbicka jako Panna młoda i Wojciech Dencik w roli Pristipkina w „Pluskwie” Włodzimierza Majakowskiego na scenie gorzowskiej (Recenzję czyt. na str. 3)

Fot. JERZY SZALBIERZ

Opinie i refleksje

Lawina inicjatyw

Odkąd Michail Gorbaczow stanął na czele kierownictwa radzieckiego, runęła lawina inicjatyw pokojowych ZSRR, które porwały jak gdyby drugą stronę. I oto jesteśmy świadkami zdumiewającego zjawiska: do niedawna jeszcze wszystko wydawało się możliwe — ale nie porozumienia rozbiorowego — teraz rozpoczął się prawdziwy wyścig ku rozbrojeniu. Przełomem okazało się zawarcie w Waszyngtonie historycznego układu — o pełnej likwidacji broni jądrowej średniego i krótszego zasięgu.

W wyścigu tym ZSRR — używając sportowych porównań — o pierś wyprzedza swego amerykańskiego partnera. Oto minister obrony Związku Radzieckiego Dmitrij Jazow w przemówieniu wygłoszonym na Kremlu podczas uroczystości z okazji 70 rocznicy powstania Armii Czerwonej poinformował, iż ZSRR przystępuje natychmiast do demontażu rakiet średniego zasięgu SS-12. Amerykańska agencja UPI podkreśla, iż demontaż ten rozpoczął się przed ratyfikacją przez Senat USA układu o likwidacji eurorakiet.

Niestety, dyskusji prowadzonej w tymże Senacie nad tą doniosłą kwestią nie można określić jako odpowiadającej duchowi obecnym czasom. Przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych, na forum której toczy się dyskusja na temat układu JNF (rakiety średniego zasięgu) i która ponosi główną odpowiedzialność za jego ratyfikację, senator Claiborne Pell pytał występując tam o osobistość, co sądzi o książce Michaila Gorbaczowa. Rozważano też inne zagadnienia o charakterze filozoficznym, m.in. czy można być jednocześnie dobrym chrześcijaninem i dobrym komunistą. I to w tym samym czasie, gdy papież słuchał „Kalinkę” w wykonaniu Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Armii Radzieckiej!

Losy porozumień znajdują się jednak przede wszystkim w rękach dwóch przywódców supermocarstw. Obecna sytuacja sprzyja pokojowemu uregulowaniu istniejących przecież wciąż kryzysów i konfliktów. Odgrywają tu rolę zarówno czynniki wewnętrzne ze strony tych, którzy w nich uczestniczą, jak i czynniki ogólne — stanowiska dominujące w społeczności światowej. Oto dlaczego taka wielka jest odpowiedzialność dwóch wielkich mocarstw.

W ciągu wielu lat ciążyła nad nimi koncepcja konfrontacji. Zasluga Gorbaczowa, ale i Reagana (czego przecież niedawno jeszcze nikt nie oczekiwał) jest, że podjęto próbę realizowania odpowiedzialności za sprawy międzynarodowe na zasadzie poszukiwania wspólnych interesów.

W tym aspekcie niezwykle ważne jest uregulowanie konfliktów regionalnych w powiązaniu z globalnymi procesami zachodzącymi we współczesnym świecie z problemem coraz większej współzależności różnych jego elementów. Nasuwa się tu w pierwszym rzędzie kwestia Afganistanu, której nowy wymiar nadało oświadczenie sekretarza generalnego KC KPZR w sprawie definitywnego rozpoczęcia wycofywania wojsk radzieckich z tego kraju już 15 maja br.

Wracając jednak do lawinowych zmian w polityce globalnej, to najważniejsza jest, że po raz pierwszy przyjęto całkowite odrzucenie wojny jako środka polityki, rozumiano brak perspektyw dążenia do przewagi militarnej i bezsensowność wyścigu zbrojeń. Nigdy przedtem, nie postawiono tych spraw tak jasno i ostro.

Niezwykle ważne znaczenie ma tutaj perspektywa zawarcia układu o redukcji o połowę arsenału strategicznego obu supermocarstw. Jeszcze niedawno sam Gorbaczow mówił o możliwości osiągnięcia takiego porozumienia najwcześniej w 1995 r., a dziś znajduje się ono w zasięgu ręki. Odnosny układ ma być podpisany podczas majowej lub czerwcowej wizyty Reagana w Moskwie. I to bynajmniej nie w wyniku tonizującego wpływu Nancy na małżonka lecz w rezultacie tego, że pchnięty na Kremlu stosunkowo tak nie dawno kamyk pokojowych inicjatyw przekształcił się w lawinę, albowiem tak bardzo odpowiadała dążeniom i pragnieniom współczesnej ludzkości. I nawet Kehl to rozumiał, a także Albania — ostatni rezerwat minionej epoki — wyszła ze swego ostracyzmu i ksenofobii.

Taki jest signum temporis — znak naszych, nowych czasów.

MICHAŁ HOROWICZ

Spojrzyć inaczej na gospodarkę

W Zielonej Górze odbyło się posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tematem była sytuacja gospodarcza w regionie — lepsza od przeciętnej krajowej. Zaś w II etapie reformy gospodarczej, wymuszającej rezygnację z dotychczasowych, w dużym stopniu ręcznych metod sterowania. „Przyspieszenie zmian jakościowych warunkiem realizacji II etapu reformy gospodarczej” — oficjalna wykładnia tego plenarnego posiedzenia KW pozwala sądzić, że sztabowi przygotowawczemu szło nie tylko o zjawisko z przeszłości i teraźniejszości, ale o nowatorskie spojrzenie, wypracowanie elementów ofensywności w polityce gospodarczej władz regionu. Co czynić, aby dokonywać zasadniczego postępu w gospodarce?

Temu celowi służyły starannie przygotowane materiały pomocnicze, w charakterze swoim analityczne, dostarczające uczestnikom VI plenum Komitetu Wojewódzkiego. Opublikowane zostały następujące teksty:

• „Stan i wykorzystanie majątku trwałego w gospodarce województwa w latach 1984—1986”.

• „Analiza i ocena efektywności procesów inwestycyjno-budowlanych”.

• „Efektywność podejmowanych działań proinwestycyjnych w latach 1984—1986”.

• „Wpływ obowiązującego systemu finansowo-kredytowego na podniesienie efektywności gospodarowania w Przedsiębiorstwach”.

• „Możliwości wzrostu eksportu w przedsiębiorstwach województwa zielonogórskiego”.

• „Wpływ postępu naukowo-technicznego i ruchu racjonalizatorskiego na jakość i nowoczesność produkcji przemysłowej”.

Powyższe opracowania analityczne były podbudową referatu wygłoszonego przez sekretarza KW Henryka Jura i

kilkukrotnie wypowiedzi gościa posiedzenia, członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR Mariana Woźnika, związanego z realizacją reformy gospodarczej osobiście.

Z REGIONU

Uczestnicy tego pracowniczego przygotowanego plenum, choć sytuacja gospodarcza regionu jest lepsza od przeciętnej w kraju, nie uciekali od krytyki, nazywania słabości po imieniu. Wytknięto — w zasadzie wszystkim przedsiębiorstwom, że ich programy poprawy jakości produkowanych wyrobów mają charakter formalny, biurowy. W rzeczywistości dla wykonania tych służących przecież programów, uczyniono niewiele, albo i nic. Z wielkiej ilości wyrobów wychodzących z hal produkcyjnych województwa zielonogórskiego tylko dwa mają znak jakości „Q”. Z powodu produkcji białej całej społeczeństwo ponosi ogromne straty.

Taki sam deklaracyjny charakter mają programy postępu naukowo-technicznego w naszych przedsiębiorstwach.

R.R.

Zaodrza

Spadek tempa wzrostu gospodarczego

Gospodarka NRD boryka się z uporczywymi i długotrwałymi problemami rozwojowymi. Urządzenia przemysłowe w wielu branżach są zużyte. Cykle inwestycyjne trwają zbyt długo. Nadzieja na osiągnięcie w krótkim czasie wyśmienitych efektów dzięki badaniom naukowym i rozwojowym okazała się wątpliwa. W Niemieckim Instytucie Badania Gospodarki (DIW) w Berlinie Zachodnim zakłada się, że zamiast planowanego wzrostu gospodarczego w wysokości 4,5 proc. w 1987 r. osiągnięto jedynie 3,5 proc., z czego prawdopodobnie połowa przypada na podwyżkę cen.

Niskie założenia planowe na 1988 r. oraz ograniczenia subwencji na artykuły konsumpcyjne pierwszej potrzeby mogą być oceniane jako właściwy krok i wyraz realistycznej oceny sytuacji. Kierownictwo NRD najwyraźniej wycofa konsekwencje z minionego roku, który — m.in. za sprawą srożej zimy — uchodził może za rok najgorszy w latach osiemdziesiątych.

Przed kilkoma tygodniami, w czasie sympozjum zorganizowanego przez Instytut Badania Ogólnoniemieckich Spraw Gospodarczych mówiono o „improwizowanej ekonomii zakładowej”. Centralne sterowanie kombinatami i zakładami przy pomocy obowiązujących nakazów planowych, w praktyce często prowadzi do niedotrzymywania terminowości produkcji, złego doboru asortymentu i niedostatecznej jakości.

NRD nie udało się w pierwszym półroczu 1987 r. rozszerzyć gospodarczo-politycznej swobody działania, pomimo potaniaenia cen ropy naftowej. Innowacyjność oraz ilościowy wzrost produkcji postępowały zbyt wolno. Nadzieje pokładane w badaniach i elektronice nie zaowocowały wyraźnie wyższym poziomem produkcji. Już od 1986 r. występują dotkliwe problemy w zakresie wywiązywania się z umów o wymianie handlowej z ZSRR, a także w handlu wewnątrzniemieckim.

Nie jeden kombinat próbuje rozwiązać swoje problemy zaopatrzeniowe i produkcyjne poprzez przejęcie zakładów podstawców. Wzbierająca od 1978 r. fala koncentrowania środków produkcji najwyraźniej jeszcze nie osłabia. Dziś istnieje już 127 centralnie i 95 wojewódzko kierowanych koncernów. Ze względu na brak „presji ekonomizacyjnej”, w ocenie zachodnich specjalistów następuje „suboptymalne zastosowanie technologii”. Objawia się to wprowadzeniem najnowszych maszyn do tradycyjnych procesów technologicznych w niekorzystnych warunkach ekonomicznych.

Nawet zakłady stawiające na innowację techniczną nie chcą rezygnować z dotychczasowej praktyki utrzymania buforów zatrudnieniowych. W prasie NRD jednym z najbardziej ulubionych tematów gospodarczych jest narzekanie na zbyt znikome uwalnianie siły roboczej. Statystycznie rzecz biorąc, siłę roboczą, która dzięki racjonalizacji może być zwolniona, dawno już została uwzględniona w nowych projektach. Zaostrza się dodatkowo problem braku rąk do pracy. Ekspert zachodni oceniają jako „wąskie gardło” o znaczącej dotkliwości niską profesjonalność kształcenia zawodowego na poziomie kombinatów i dużych zakładów przemysłowych.

(x)

Z życia berlińskiej gminy żydowskiej

W stolicy NRD żyje około 2 tys. wyznaniowych Żydów. Jak napisał zachodniemiecki DIE WELT, powołując się na kantora gminy żydowskiej w Berlinie — Oljeana Ingstera, w całej NRD jest ich niewiele więcej. Np. w Schwerinie jedyną a zarazem ostatnią czołkę tamtejszej gminy ma już 85 lat. Ogółem na terenie całego kraju istnieje osiem żydowskich gmin wyznaniowych.

Niedawno dzięki pomocy finansowej państwa odnowiono w Berlinie zabytkową synagogę. Mówi się jednak, że jest ona za duża i za zimna na potrzeby niewielkiej gminy. Posiada 800 miejsc siedzących, tymczasem na nabożeństwa rzadko przychodzi nie więcej niż 10 osób. Modlitwy odbywają się więc w mniejszych, sąsiadujących z synagogą pomieszczeniach. Dlatego też świątynia spełnia raczej funkcję muzeum, a nie Domu Bożego.

W tutejszym środowisku żydowskim nie odczuwa się pomimo to rezygnacji. Od kilku bowiem lat — stwierdza rozmówca DIE WELT — łatwiej być Żydem w NRD. W Berlinie przy Eberswalderstrasse nie tylko prosperuje koszer na rzeźnię, gdzie oprócz członków społeczności żydowskiej zaopatrują się także pracownicy placówek dyplomatycznych krajów arabskich oraz inni mieszkańcy stolicy, którym religia zabrania spożywania wieprzowiny. Jedynym problem to brak na miejscu stałego rzeźnika, posiadającego uprawnienia do rytualnego uboju bydła. Pracę tę wykonuje rzeźak zamieszkały w Budapeszcie, który dojeżdża do Berlina dwa razy w miesiącu.

Niedawno gmina otrzymała własnego rabina, który przyjechał tu z USA. Prowadzi się naukę języka hebrajskiego oraz podejmuje próby organizowania dyskusji na temat religii i historii narodu żydowskiego. Każdy wierny może spełniać swoje praktyki religijne, co gwarantuje konstytucja. Rozmówca DIE WELT przyznaje wprawdzie, że na cmentarz żydowski pojawiają się niekiedy antysemityczne hasła, ale spotyka się to z ostrym potępieniem tutejszej opinii publicznej i władz.

(x)

Rozrachunek z przeszłością

„Jesteśmy organizacją międzynarodową, którzy nie wypierają się swego pochodzenia i myślą o Niemczech tak jak Brecht. I to, co oddajemy do druku, jest niemiecką literaturą z socjalistycznego kraju” — powiedział przewodniczący Związku Pisarzy NRD, Hermann Kant na X Zjeździe pisarzy NRD.

Zakwestionował on także zasadność dokonanej w przeszłości zmiany nazwy organizacji z Niemieckiego Związku Pisarzy, na Związek Pisarzy NRD. Zmiana nazwy nie spowodowała zmiany stanowiska członków związku. W tym sensie pozostaliśmy niemieckim związkiem pisarzy — podkreślił Kant. Odnosnie do decyzji Związku w niektórych sprawach dotyczących przynależności różnych pisarzy Kant zaznaczył, iż nie wszystkie decyzje o wykluczeniach były najszcześliwsze.

Na fakt opuszczania NRD przez pisarzy zwrócił także uwagę otwierając obrady znany pisarz Stephan Hermlin. „W ostatnich latach — podkreślił — ponieśliśmy straty. Niektórzy koledzy opuścili NRD, wśród nich niemało dobrych pisarzy. Z pewnością związane jest to z biurokracją i dogmatyzmem” — powiedział Hermlin, i zaznaczył, by ludzie pisać w NRD wykazali „cnotę cierpliwości”.

(x)

Zaklaba

SPD unosi skargę przeciwko paragrafowi „strajkowemu”

Rządzone przez SPD kraj federalny Nadrenia Północna-Westfalia oraz frakcja SPD w Bundestagu wniosły 29 grudnia ub.r. do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe skargi przeciwko nowej wersji par. 116 federalnej ustawy o popieraniu pracy, tzw. paragrafu strajkowego. Rządzone z udziałem SPD kraje: Brema, Hamburg, Hesja i Saara zapowiedziały przyłączyć się do skargi.

Uzasadniając tę inicjatywę Johannes Rau, premier Nadrenii i Północnej-Westfalii oświadczył na konferencji prasowej w Bonn, iż była ona niezbędna, ponieważ partii Unii i FDP nie wycofano żadnych konsekwencji z istotnych zastrzeżeń konstytucyjno-prawnych, zgłaszanych w toku procedury ustawodawczej. Ponadto odwołano się do najwyższego trybunału federalnego jako konieczne ze względów politycznych, ponieważ przez zmianę par. 116 „równowaga sił między stronami umów zbiorowych została poważnie przesunięta na niekorzyść pracobiorców i ich związków zawodowych”. Zdaniem SPD, nowy paragraf narusza ochronę własności, zasadę równości oraz ochronę swobody zawierania koalicji.

(x)

Prawda niepożądana i szkodliwa

Tak prasa zachodniemiecka nazwała aferę związaną z przesładowaniem przez organizację lekarską RFN dr. med. Hartmuta Hanauske-Abel. Młody lekarz ogłosił w angielskim piśmie fachowym „The Lancet”, uchodzącym za najpoważniejsze pismo lekarskie świata, artykuł. Przypomniał, że przykładem lekarskich zbrodni hitlerowskich jest dr. Mengele, lekarz obozowy w Oświęcimiu, znany z nieludzkich eksperymentów medycznych. Hanauske-Abel zwrócił uwagę, że specjalnością Mengelego było „selekcjonowanie” i

Bez ogródek stwierdzono, że w przemyśle elektromaszynowym, włókienniczym i budownictwie 70 procent maszyn i urządzeń nie nadaje się do dalszej eksploatacji. Przedsiębiorstwa wolą się rozwijać przez inwestowanie, choć rentowność wprowadzania do produkcji projektów wynalazczych, nowych technologii jest oczywista. Przedsiębiorstwa na te cele łożą niedużo. Są to wydatki drugorzędne. Na przykład wydatki budownictwa na postęp naukowo-techniczny wynoszą ok. 3 procent! W naszych zakładach postęp dokonuje się przez naśladownictwo, kopiowanie spraw dzionych już wzorów.

I wreszcie wielce wymowna statystyka: na 200 tysięcy osób zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej województwa zielonogórskiego, aż 70 tysięcy pracuje na stanowiskach nieprodukcyjnych.

Próba nowego, pozbawionego złudzeń, całościowego spojrzenia na gospodarkę regionu, jest koniecznością, jeśli nie chcemy utonąć w grze pozorów. Komitet Wojewódzki dowiódł swoim posiedzeniem, że potrafi patrzeć na rzeczywistość gospodarczą po męsku.

R.R.

mordowanie ludzi i dzieci nienormalnie zbudowanych, których szkielety lub organa przesyłał do Instytutu cesarza Wilhelma do spraw antropologii i genetyki w Berlinie. W tym samym artykule Hanauske-Abel ogłosił protokół narady o „problemach lekarskich w wypadkach morskich i zimowych”. Referat ten przed kilkuset lekarzami wygłosił w 1942 r. w Norimberdze prof. Holzloher i jego asystent dr. Rascher, powołując się na swe eksperymenty w obozie koncentracyjnym Dachau. Na podobnej imprezie w maju 1943 r. kilkuset lekarzy zapoznano z wynikami śmiertelnych eksperymentów bakteriologicznych w obozach koncentracyjnych. Nic w tym dziwnego, pisał Hanauske, gdyż 65 proc. lekarzy niemieckich było członkami partii hitlerowskiej, a 45 proc. SS. Wszyscy trzej przewodniczący Zachodniemieckiej Izby Lekarskiej po wojnie to byli członkowie SS. Po publikacji w „The Lancet” natychmiast Hanauske-Abel wyjechał jako „notoryczny kłamca i szkodziący zawodowi” z Izby Lekarskiej Hesji i tym samym stracił właściwie możliwość samodzielnego pracy w RFN. Młody lekarz przeniósł się więc do kliniki dziecięcej w Bostonie w USA. Wtedy zachodniemiecka Izba ochrzciła go przed kolegam i w USA jako „znanego twórcę oszczerstw wobec zawodu i kolegów”. Tego już było za dużo redakcji „The Lancet”, która w artykule redakcyjnym po twierdzeniu prawdziwości zarzutów Hanauske-Abel oraz przeszłość przywódców zachodniemieckich lekarzy oraz wyliczyła, że od 1986 do 1979 roku ukazały się na świecie 422 publikacje na temat „Medycyna podczas panowania narodowego socjalizmu”. Dopiero wtedy obecny przewodniczący zachodniemieckiej Izby Lekarskiej, były lekarz SS Karsten Vilmar uznał sprawę ze strony Izby za zamkniętą, gdyż, według niego trudno się bronić przed pomówieniami!

(tema)

Bezrobotni do wojska

Piątego stycznia br. okres piętnastomiesięcznej służby w Bundeswehrze rozpoczął kolejnych 47 000 poborowych. Wśród nowo powołanych poborowych jest, zgodnie z danymi federalnego ministerstwa obrony, około 15 000 młodych bezrobotnych, którzy w Bundeswehrze otrzymają szansę podniesienia kwalifikacji zawodowych, co powinno im po wyjściu z wojska ułatwić znalezienie pracy.

(x)

Drodzy Czytelnicy!

Informujemy, że począwszy od następnego numeru cena „Nadodrza” wzrasta do 40 zł. Decyzja o zmianie podjęta została w wyniku analizy ekonomicznej prasowej działalności wydawniczej, która musi brać pod uwagę wzrost kosztów od nas niezależnych, zwłaszcza energii, transportu, materiałów i usług poligraficznych, a także podstawowego dla ukazywania się prasy surowca — papieru.

Liczymy, że Czytelnicy „Nadodrza” ze zrozumieniem potraktują to, co jest koniecznością.

Uwaga: ci spośród Czytelników indywidualnych, którzy trwale wiążą się z „Nadodrzem” poprzez prenumeratę, za opłacony okres otrzymywać będą dwutygodnik po dotychczasowej cenie.

Zielonogórskie
Wydawnictwo Prasowe

W następnym numerze „Nadodrza” m. in.:

- O mordercach i morderstwach
- Jak zginął generał Świerczewski?
- Kto ukradł szablę z muzeum?
- oraz w cyklu „Sceny miłosne w literaturze pięknej” — „Zwrotnik Raka” Henry Millera

„Pluskwę” Majakowskiego niemal równolegle przygotowały dwa teatry im. J. Osterwy — w Lublinie i w Gorzowie. Po długiej przerwie nagły renesans tej „feerycznej komedii”. Gorzowska premiera była niezwykle uroczysta. Słyszałam w czasie przerwy rozmowy po rosyjsku, angielsku, francusku i niemiecku. Przyjechało sporo gości ze stolicy, z Krakowa. Liczna była reprezentacja Zielonej Góry. Słowem: wielki świat w Gorzowie.

Sztuka powstała w latach 1928–29. Akcję pierwszych części Majakowski oświadczył we współczesności, pozostałych — w odległej przyszłości, czyli w roku 1979. Za podsta we niebezpieczeństwo lat 20-tych uznał nawrót drobnomieszczaństwa, natomiast główną groźbą wzięcia nad ludzkością w przyszłości będzie — jego zdaniem — odhumanizowanie życia. Od napisania sztuki minęło blisko 60 lat, minął 12 kwietnia 1979 r., czyli dzień wskrzeszenia bohatera do życia w nowej rzeczywistości. Dla nas współczesnością jest to, co dla Majakowskiego było odległą przyszłością. Wizja podlega już weryfikacji.

Najpierw jednak jesteśmy w końcu lat 20-tych. Prinsipkin — „były robotnik, były partyjniak, obecnie narzeczoną” — jak go określa autor — żeni się z panną fryzjerską Wehodzi w środowisko ludzi z forsą. W pierwszej części przedstawienia mówi się wyłącznie o pieniądzu. Przed domem towarowym można wszystko kupić i sprzedać, rewolucyjna młodzież demonstracyjnie lekceważy pieniądze, choć w głębi do nich tęskni, weselni goście rzucają obfite datki. Czasy ideowych wzlotów są już daleko. Wartości i wzorce wymieszają się, podobnie jak w fryzjerskim „ikonostasie” czyli w zdjęciach nad lustrem, gdzie święci rewolucji są siadają ze świętymi kościoła.

Dobre tempo, ruch, gwar, dużo ostrej muzyki, kabaret, pomysły błyskotliwe i celne. Tętni cały teatr. Aktorzy są wszędzie, nawet na balkonie, nawet na sznurowej drabince z balkonu. Widać dobrą reżyserską rękę. To robił czło wiek młody, z fantazją. Publiczność na tychmiast kupuje ton, bawi się, bije brawo przy otwartej kurtynie. Owacja po pierwszej części.

Jaka będzie druga część? Czy reżyser utrzyma tempo? Czy nas jeszcze zaskoczy?

Niestety. Tempa nie utrzymał, niczym nie zaskoczył, a wręcz znudził sztuczną konwencją. Świat z 1979 r. jest światem robotów z charakterystycznymi, ostrymi ruchami, z przylepionym uśmiechem i sztucznym sposobem chodzenia. Nie, to nie my! To nie nasz świat! To tylko kolejna wizja science-fiction. A przy tym ta śmiertelna powaga, wręcz celebrowanie. Wszystko tu jest dosłowne: mandarynki na drzewach, dezodoranty odświeżające powietrze, piwo. Tylko pluskwa jest niewidoczna. Ta najważniejsza, bo żywa, symbolicznie włączająca świat automatów ze światem prawdziwych, dawnych ludzi.

Gorzowskie przedstawienie reżyserował Wiesław Holdys, dla którego ta praca jest przedstawieniem dyplomowym. Kończy właśnie reżyserię w krakowskiej PWST. Dyrektor gorzowskiego teatru nie bał się powierzyć młodemu, niedoświadczonemu jeszcze reżyserowi swoje go zespołu, sceny i — bądź co bądź — sporych pieniędzy wiążących się z premierą.

Wiesław Holdys rozpoczął od nowego odczytania „Pluskwy”. Dla niego Prinsipkin nie jest postacią negatywną, nie jest taką ludzką pluskwą, potępianą i niszczoną. Jeśli nawet czasami bywa śmieszny, to jednak — jak zdaje się dowodzić reżyser — nie można odmawiać mu prawa do osobistego szczęścia ani do ożenku dla pieniędzy. W II części Prinsipkin staje się jeszcze bliższy. A

gdy w ostatniej scenie, zwracając się do publiczności pyta: „Skądżeście się wzięli? Jak was dużo! Kiedy was wszystkich odmrozili?” — to wiemy na pewno, że jesteśmy z nim. Ze my to nie au tomaty z 1979 r., że my moglibyśmy być handlarzami spod domu towarowego lub weselnymi gośćmi z I części. A symboliczna, niewidzialna pluskwa staje się symbolem nadziei, że przetrwamy, że jeśli na jakimś etapie rozwoju przybierzemy oblicza robotów, to i tak odrzucimy się. Będziemy.

Młody krakowski reżyser pozyskał do spektaklu znakomitego współtwórcę w osobie Zygmunta Koniecznego — jednego z najlepszych kompozytorów teatralnych. Teatr tętni muzyką. Najpierw wykonuje ją 8-osobowy zespół instrumentalny, który nie gubi się w sytuacjach scenicznych, co jest kolejną zasługą reżysera. W II części przeważa-



MAJAKOWSKI W GORZOWIE



Scena zbiorowa

Fot. JERZY SZALBIERZ

ją syntetyzatory, muzyka mechaniczna precyzyjnie nagrana przez kompozytora. Ta muzyka nie powinna zniknąć wraz z wyeksploatowaniem przedstawienia. Zarówno foksrot-kożak z I części, jak i muzyka robotów powinny wejść do szerszego rozpowszechniania, nie tylko przy okazji przedstawienia! Jak? Nie wiem, ale zachęcam dyrekcję teatru do przemyślenia.

Scenografię przygotował Janusz Tartyllo znany gorzowskiej publiczności m.in. z „Okapi” i „Dwóch panów N”. Lubi on na scenie przedmioty duże i ciężkie. Dreszcz przeszedł po premierowej publiczności, gdy podczas wjazdu na scenę zaczął rozsypanywać się (dosłownie) wielki wóz tramwajowy, przyniatając jedną ścianę uniwersytetu. Siłą miłośni maszyniści zapobiegli katastrofie, ale widzowie i aktorzy dłuższy czas wracali do spokoju ducha. Zdęcy-

dowanie wolę w teatrze prościej, symboliczną scenografię, ale przynajmniej, że rząd ciężkich stanowisk fryzjerskich w scenie wesela znakomicie wzbogaca sytuację. W ogóle to najlepsza scena w przedstawieniu. Scena do zapamiętania na długo.

W „Pluskwę” występuje cały zespół gorzowskiego teatru, każdemu z aktorów przypadło nawet po kilka ról. Głównego bohatera gra Wojciech Deneka, aktor lubiański, trzykrotny laureat nagrody publiczności. Deneka jeszcze raz prezentuje te swoje cechy, które przysporzyły mu popularności. Jest zabawny i serdeczny, śmieszny i ciepły, trochę prostactki, trochę przemądrzały, w końcu — prawdziwie pokonany i nieszczeniwy. Po prostu swój.

Z grona licznych wykonawców zdecydowanie wybija się Krzysztof Malinowski jako Bajan z I części i Dyrektor ZOO w II. Jakże znamienne jest połączenie tych dwóch ról: w I części jest nauczycielem i przewodnikiem Prinsipkina, wprowadza go w nowy świat, w II — chroni pluskwę, otacza ją kultem jako jeden z nielicznych sław przysłości. W obu wcieleniach jest nawiedzonym nosicielem wartości jeszcze nieznanym innym. Z rozwieszonych czupryn, z oczami wbitymi w światło reflektorów, zdaje się być jedynym, który potrafi wyzwolić ludzkość.

Gorzowska „Pluskwa” jest przedstawieniem ciekawym i ważnym, choć nie równym. Zapewne w jakimś mierze ten niedosyt rodzi się z nadziei, jaką rozdził I akt. Młody reżyser, niestety, nie umiał poradzić sobie z tekstem. Aktorzy mówią źle. Często muzyka zagłusza ich głosy, ale wprowadzenie dynami-

cznej muzyki nie może być usprawiedliwieniem tego, że słowa nie docierają do pierwszych rzędów.

Jednak mimo mankamentów, gorąco polecam ten spektakl zarówno gorzowskiej jak i zielonogórskiej publiczności. Warto zobaczyć debiut Wiesława Holdysa, o którym — mam głębokie przekonanie — niedługo będzie głośno w teatralnym świecie.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Włodzimierz Majakowski: Pluskwa. Feeryczna komedia w dziewięciu obrazach. Tłum. Lidia Zamkow. Reżyseria — Wiesław Holdys, scenografia — Janusz Tartyllo, muzyka — Zygmunt Konieczny, kierownictwo muzyczne — Grzegorz Kawalec. Premiera — luty 1988 r.

Anna Kwapisiewicz

mojej siostrze
Terezie Wierchowickiej

na początku była droga
ku słowu
a słowo było u boga

teraz postuchaj

świat i człowiek są tu już gotowi
w zrenieciach antycznych rzeźb
ukrył się czas
pije go z każdej amfory
dionizosa
i nie wierzę w to
ci mówił parmenides
że fakt narodzenia
jest smutny

aby iść dalej
trzeba wyjąć cieni ze stopy
jeszcze tylko kilka kroków
a przede winnice bramy
do nieba

moment
wyzwalający

śpią
a czuł jakby niosły
jakiś ruch
gest
niebo wyrastało ponad
zatrzymywało się

dłutem
rozszedł treść
o rza tajemnicę twarzy
te rza
w mrocznej cierpliwości
gdy pamięć pojemna
i sen przechodzi do rąk

dzwony

i bliskość nie niszczy
słuchu
moe tylko tajemna
z czołuszy ziemi

pierwszy dreszcz piękna

Romana Kaszczyk

Ucieczka

Jak tam jest
na tych wyspach
błękitnie
zielono
kolorowo
Czy lzy
są zielone
czy mają kolor rosy
Lzy też są szczęśliwe
kwiaty pachną radością
a myśli s częścią
Na zielonych sznurkach
suszą się
złote rogi diabła
i białe skrzydła aniołów
Ptaki są szczęśliwe
i rozkładają kolorowe pióra
Deszcz jest cudownie błękitny
trawa soczyście zielona
i wiatr zielony
i myśli zielone
a serce w kwiaty
Jedno życie za male
żeby się nim nacieszyć

Beata Ananiewicz-Smidt

Trzeba temu na dole pomóc

Rozmowa z Marcello Mastroiannim

W grudniu ub. roku gościli w Polsce sławny reżyser radziecki — Nikita Michalkow i popularny aktor włoski — Marcello Mastroianni, który obiecał odwiedzić nasz kraj ponownie w październiku br.

— Jak doszło do spotkania z Nikitą Michalkowem?

— Kiedyś czekałem na autobus. Nikita jechał samochodem, zatrzymał się i spytał: „Pan dokąd?” (śmieje się zartobliwie).

— W ponad stu filmach grał Pan bardzo różne postacie: homoseksualistów, uwodźców, kobietę w ciąży. Jak klasyfikuje Pan postać w filmie „Oczy czarne”?

— Grając tego bohatera miałem uczucie, że patrzę w lustro. Poprzez niego miałem okazję ukazać sprawy bardzo osobiste. Już podczas czytania scenariusza miałem wrażenie, że autor wziął coś z mojego życia.

— Ale przecież ten bohater ma za dużo cech negatywnych...

— Tak... Jest bardzo podobny do ludzi... Wolę grać małych grzeszników niż wielkich bohaterów.

— Czyli bohater wykreowany przez Pana w tym filmie jest Panu szczególnie bliski?

— Być może nawet najbliższy ze wszystkich dotychczas zagranych przeze mnie. Grając homoseksualistów czy kobietę w ciąży nie zauważyłem u siebie podobnych cech.

— Które role ukształtowały Pańską osobowość?

— Gdyby rolę, które grałem, zostawiły we mnie jakieś szczególne ślady, to byłbym człowiekiem pełnym zalet. Aktorzy są marionetkami. Mogą być wszystkim i niczym.

— Z jakimi uczuciami spogląda Pan na swoją karierę, na swoje kino?

— Z wielkim sentymentem. Myślę, że moja kariera jest wspaniała. Całkowicie dopisało mi szczęście. Dobrze aktorstwo zależy przede wszystkim od szczęścia, od ludzi których spotyka się na swojej drodze twórczej. Moje wejście na scenę odbyło się przez „złote drzwi”. Zaczynałem w Viscontiego, potem był Fellini a teraz jest Michalkow. Mam 63 lata i szczęście mnie nie opuszcza.

— Jak Pan sądzi, dlaczego szczęście Pana nie opuszcza?

— Jestem człowiekiem bardzo wierzącym. Być może Matka Boska kiedyś rzekła: trzeba temu na dole pomóc.

— I we wszystkich filmach Panu po magala?

— Niestety, nie we wszystkich.

— Co jest dla Pana w życiu najważniejsze i czego Pan pragnie?

— Teraz na przykład chciałbym zjeść kolację. Całe moje życie dla mnie jest ważne. Chciałbym żyć dwieście lat, a nawet trzysta.

— Z jakimi twórcami najlepiej się Panu pracowało?

— Bardzo dobrze pracowało mi się z Fellinim a obecnie z Michalkowem. Zdumiewają mnie ich pomysły. Ich twórczość jest bardzo prawdziwa. Aktor, który będzie miał szczęście spotkać się z tymi twórcami, bardzo wzbogaci swoją osobowość artystyczną.

— Stworzył Pan mój wielkiego amanta kina. Jaki jest Pana stosunek do kina?

— O kobietach myślę w sposób nieco nie zorganizowany. Gdybym je rozumiał, to miałbym dużo mniej problemów.

W imieniu czytelników „Nadodrza” oraz własnym serdecznie Panu dziękuję za rozmowę.

BOGDAN KUNCEWICZ

W maju 1984 r. Muzeum Ziemi Lubuskiej kupiło od mieszkanki Zielonej Góry dużo starych książek, pochodzących z wielu bibliotek. Były to przede wszystkim drukarnie niemieckie z różnych dziedzin wiedzy, ilustrowane, oprawione w skórę lub płótno, jak sądzono, mogące mieć niemałe znaczenie w badaniu nie tylko przeszłości środkowego Nadodrza. Wśród nich znajdował się atlas, za który muzeum zapłaciło 540 złotych, co nawet wówczas było wydatkiem skromnym. Książki złożono w tymczasowym magazynie uznając, że po wyremontowaniu gmachu przy al. Niepodległości 15 powinny one być przechowywane w bibliotece muzealnej i udostępnione pracownikom naukowym, nauczycielom, publicystom. Po kolejnej zmianie dyrekcji muzeum bibliotekę zlikwidowano, a jej zasoby rozparcelowano między poszczególne działy. Atlas trafił do działu historycznego. Z opisu wykonanego przez niezbyt solidnego muzealnika dowiadujemy się, że atlas pochodzi z połowy XVIII wieku, drukowany stolarzniczo lub miedziorytno, co w pracowni J.G. Schreibera, mapy częściowo kolorowane, napisy i podpisy w języku niemieckim, brak strony tytułowej. Ten atlas wraz z wieloma innymi książkami przechowywano w szafie bez specjalnego zabezpieczenia przed kradzieżą. Prawdopodobnie nikt spośród ówczesnych pracowników muzeum nie wiedział, że atlas ma wartość szczególną i należy go chronić tak, jak najcenniejsze zabytki. A jednak ktoś musiał zwrócić nań uwagę i swoim spostrzeżeniem podzielić się z dr. Grzegorzem Chmielewskim, dyrektorem księżnicy zielonogórskiej, znakomitym znawcą starodruków. Biblioteka pod jego kierownictwem zgromadziła unikatowe zbiory, jakich nie posiadają księżnice starsze od zielonogórskiej. W zespole cymeliów kartograficznych posiada XVI-wieczne wydanie *Geographia* Ptolemeusza, czterotomowy *Atlas novus* J. Jansona z 1647 r., *Carte de la Pologne* Rizzi Zanoliego z 1772 r., atlasy Homanna oraz liczne miedziorytnice, ręcznie kolorowane mapy Śląska. Dr G. Chmielewski robił co mógł, by atlas muzealny stał się własnością biblioteki. Najpierw zaproponował za niego jeden obraz olejny malarsza współczesnego, którego prace kolekcjonuje Muzeum Ziemi Lubuskiej. Za jakiś czas ofertę ponowił, proponując już dwa obrazy tego samego mistrza. I choć propozycja była kusząca, przynajmniej z punktu widzenia kierownictwa muzeum, do zamiany nie doszło.

W styczniu 1985 r. dr Jan Muszyński, dyrektor muzeum, spotkał się z dyrektorem Wojewódzkiego Archiwum Państwowego — dr Jerzym Piotrem Majchrzakiem, germanistą i historykiem, i pokazał mu ów atlas. Dr J.P. Majchrzak natychmiast ocenił zabytek jako arcydzieło niemieckie, sztuki drukarskiej. Stwierdził, że atlas powinien być poddany konserwacji i że archiwum zielonogórskie jest w stanie dość szybko i należyście zabezpieczyć. Pomiędzy muzeum i archiwum od lat istnieje wszechstronna współpraca, obie instytucje wymieniają informacje, służą sobie radą i pomocą. Dr J. Muszyński przystał na tę propozycję.

Atlas, jak później stwierdził dyrektor archiwum, „wykonany ręcznie i kolorowany akwarelami, znajdował się w bardzo złym stanie, nie posiadał faktycznie oprawy, poszczególne karty były łusne, nadgniłe i nadbrudzone”. Naprawa i konserwacja poszczególnych map, ponowne ich zszycie i oprawienie w płótno zajęło Krystynie Mańce, zatrudnionej w archiwum, trzy miesiące. „Wykonane u nas prace, jak na warunki, którymi dysponujemy, były poprawne i za-

bezpieczny atlas przed dalszymi uszkodzeniami chemicznymi” — stwierdził przed sądem dr J.P. Majchrzak. Ponadto powiedział, że na jego polecenie pracownicy archiwum wykonali mikrofilm i odbitki fotograficzne map z atlasu. Dr J.P. Majchrzak nigdy nie ukrywał, że chciałby posiadać go w zbiorze archiwum, co także powtórzył w obecności niektórych pracowników muzeum. „Sposób postępowania z tego typu obiektami w archiwum, z uwagi na ich rzadkość i wartość, pozwala mi stwierdzić, że atlas trafiłby niewątpliwie do skarbcza i nie byłby u nas powszechnie udostępniany, chyba że przez fotokopię lub mikrofilm” — wyjaśnił sądowi.

Kiedy i w jakich okolicznościach zaginęła karta tytułowa atlasu, nikt tego nie wie. Najprawdopodobniej atlas został zakupiony już bez karty tytułowej. Gdyby ta karta się odnalazła, zawierałaby napis: *Atlas selectus von allen Königreichen und Landern der Welt* oraz informację w języku niemieckim, że druk został wykonany w Lipsku w pracowni Johanna Georga Schreibera w roku 1749; wszystko w kolorze czarnym.

Co się wydarzyło w muzeum

ATLASY



Jedna z 117 map z zaginionego atlasu Schreibera — przedstawiająca ziemię zagąską

repr.
CZESIAW
LUNIEWICZ

Niedawno ustalono, że atlas „zielonogórski” jest jednym z trzech identycznych starodruków znajdujących się w Polsce (poza tymi, które przechowywane we Wrocławiu, przetrwały w najlepszym stanie i jako jedyny posiada komplet map. Dotąd nie wiadomo, ile takich samych atlasów mają instytucje naukowe i kulturalne innych państw. Komisja, w skład której wchodził zielonogórscy znawcy starodruków, oceniła, że atlas, o którym mowa, kosztuje 1,3 mln złotych. Zdaniem innych, kolekcjonerów starych książek, wycena ta została zaniżona.

Naprawiony i zakonserwowany atlas dr J.P. Majchrzak oświadczył, że do muzeum i w obecności dr J. Muszyńskiego zwrócił go Januszowi K. — kierownikowi działu historycznego, który jednocześnie był wicedyrektorem muzeum. Obaj dyrektorzy muzeum podziękowali pracownikom archiwum za pomoc, stwierdzili, że konserwacja map została wykonana prawidłowo, a atlas będzie zabezpieczony w ten sposób, aby już nigdy nie uległ zniszczeniu.

Robert Korneluk, pracownik działu historycznego muzeum, wyjaśnił sądowi: „Po zwrocie atlasu historycznego z konserwacji w archiwum, umieściłem go w szafie w naszym dziale pod innymi książkami, gdyż (Janusz K.) powiedział, że jest to cenna rzecz. Po jakimś czasie zaczął czegoś szukać, okazało się, że tego atlasu, i zabrał go. Nie mówił, po co”. Janusz K. przechowywał ów atlas w szufladzie biurka, które stało w jego dyrektorskim gabinecie. Twierdzi, że wielokrotnie pokazywał go nie tylko pracownikom muzeum i to w obecności dr J. Muszyńskiego lub na jego polecenie. „(...) nie zdarzyło się, abym ja posiadał go, pokazywał go komuś u mnie w gabinecie lub abym u czestniczył (w spotkaniu), kiedy pokazywano go w gabinecie (Janusza K.). Pod nieobecność (Janusza K.) nie wchodziłem do jego gabinetu” — zeznał przed sądem dr J. Muszyński. Potwierdziła to Jolanta Wierzbowska, sekretarka, mówiąc: „Gdy pracowałam w sekretariacie, nie zauważyłam, by do gabinetu zastępcy dyrektora wchodził ktośkolwiek obcy. (...) W mojej obecności

o okazanie atlasu, powiedział: (...) że ma go w gabinecie na dole i pokaże go nam, zaś gdy przenosił się do gabinetu, stwierdził, że ma go na górze”. O zauważonych brakach w dziale historycznym członkowie komisji poinformowali dr J. Muszyńskiego. Janusz K. obiecał przynieść atlas za kilka minut, a także zwrócić pozostałe starodruki i broń. „Gdy to nie nastąpiło, wystąpiłem do wojewody o natychmiastowe odwołanie go z funkcji wicedyrektora” — powiedział sądowi dr J. Muszyński.

Na początku 1987 r. odbyła się druga inwentaryzacja działu historycznego. „Chyba w styczniu 1987 r. przy przenoszeniu wszystkiego, co znajdowało się u mnie w gabinecie, na górę do działu historycznego, stwierdziłem (...) brak atlasu”. Ale o tym fakcie Janusz K. nie powiedział nikomu, choć zatrudniony w dziale historycznym R. Korneluk prosił go o pokazanie mu atlasu.

Janusz K. w przeciwieństwie do wielu historyków nigdy nie był kolekcjonerem starych przedmiotów, ale doskonale wiedział, kto posiada cenne zabytki, gdzie je można wypożyczyć lub kto i czego poszukuje. Jak się później wyjaśni, wielokrotnie korzystał ze swojej wiedzy.

W styczniu 1987 r. (Janusz K.) przy szedł do mnie z prośbą o wyrażenie zgody na wypożyczenie jakiegoś atlasu,

wia mniejszą wartość materialną i historyczną. W toku późniejszych badań specjalistów wyceniono ten atlas na 75 tysięcy złotych. Rozumiał on także, że kilku pracowników muzeum widziało atlas Schreibera przed konserwacją i po zwrocie go z archiwum. Mimo to zaczął działać z zimną krwią. Najpierw polecił Marcie Kościelniak, pracującej w dziale historycznym zaledwie cztery miesiące, by opracowała przyniesiony przez niego atlas. Następnego dnia zabrał ten atlas i, jak zrelacjonował to R. Korneluk przed sądem, (Janusz K.) (...) przy niósł atlas mówiąc, że jest tym brakującym, a ponieważ miałem wątpliwości co do jego autentyczności, podzieliłem się nim z dyrektorem. Komisja zaś sporządziła stosowną notatkę”. Przewodnicząca komisji inwentaryzacyjnej, K. Marchelek, zeznała: „(...) wiedziałam, że w dziale historycznym po podziale biblioteki znajdował się atlas geograficzny Europy z XVIII wieku. Zauważyłam okazanie tego atlasu od Myszkiewicza. Pośrednio dowiedziałam się, że (Janusz K.) dostarczył atlas, który musiał z pracownikami działu, który przed stawiał go naszej komisji i stwierdziłam, że nie jest to ten, który znalazłam”.

Już po rozpoczęciu dochodzenia w sprawie kradzieży, między innymi broni białej i palnej, starodruków, zegarków, atlasa Fleminga milicja zwróciła Bibliotecę Główną WSP. „Stwierdziłem, że w miejscach, gdzie figurowała pieczęć Biblioteki Główniej, jego oznakowanie — ten fragment został oderwany” — powiedział przed sądem J. Szaniecki.

Janusz K. został oskarżony przez Prokuraturę Wojewódzką w Zielonej Górze o to, że jako wicedyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej i jednocześnie kierownik działu historycznego nie dopełnił obowiązku zabezpieczenia najcenniejszych obiektów przed kradzieżą, w wyniku czego ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej tylko w 1986 r. zginęły: między innymi z działu historycznego — lampa naftowa wartości 20 tys. zł, dwa tomy „Kazania” Piotra Skargi wartości 300 tys. zł, atlas Europy z XVIII w. wartości 1,3 mln zł. Prokuratura oskarżyła go również o to, że usiłował zagarnąć atlas historyczny wartości 75 tys. zł, stanowiący własność WSP.

Janusz K. nie przyznał się do winy. Po wiedział sądowi, że kiedy stwierdził brak atlasu Schreibera w szufladzie swojego biurka, nie wiedział, co robić. (...) bo R. Korneluk chciał, żeby mu go pokazał. Dlatego zdecydowałem się przedstawić jako ten atlas, atlas historyczny, który wypożyczyłem poprzednio z biblioteki WSP, przy czym usunąłem oznakowanie biblioteki. Podobnie jak przy broni, postąpiłem tak, aby ukryć brak do czasu wyjaśnienia zaginięcia atlasu”.

Sąd uznał, że Janusz K. usiłował zagarnąć atlas Fleminga, wypożyczony z WSP, i za to winny mu karę więzienia — rok i 4 miesiące oraz 150 tys. zł grzywny. Sąd uznał go także winnym innych przestępstw, o czym napiszemy w następnych numerach „Nadodrza”. Uzasadniając wyrok, sąd wskazał, że „nie można ustalić, w jaki sposób zaginęła broń i inne eksponaty z Muzeum Ziemi Lubuskiej, ale czy oskarżony to spowodował, nie wiadomo. Są to domniemania”. Jako okoliczność łagodzącą sąd przyjął, że Janusz K. „zna część zagarniętych przedmiotów zwrócił, co świadczy o jego sytuacji moralnej, a nie winie”.

ALFRED SIATECKI

Z teki zielonogórskiego adwokata Jeremiasza Andersa

Sprawa hrabiego K.

Jerzy Piotr Majchrzak

Z początkiem marca 1842 roku zgłosił się do znanej zielonogórskiej kancelarii adwokackiej Anders i Syn mąż służby postawy, z manierami światowca, nieznanymi osobom obu państw. Przedstawił się jako hrabia K., ze starej polskiej herbowej rodziny. Przybył z wielką niechęcią, jednakże z wyrażeniem słownym akcentem. Oświadczył Andersowi-seniorowi, że „... polecił ich mości jako znakomitych juri sprudentów w sprawie cywilnym biegłych wielmożna Ponińska i że własnie przybył do Zielonej Góry prosić panów o zajęcie się pewną sprawą, na der delikatnej natury, oczywiście nie wątpli, że panowie zachowują całkowitą dyskrecję...”. Dodał następnie, że wraz z żoną zatrzymali się w hotelu „Pod złotą Koroną” i „...oczekuję tam Panów jak najrychlej”, po czym pożegnał się i opuścił kancelarię, zanim Andersowie cokolwiek zdążyli powiedzieć.

Nazajutrz Jeremiasz Anders, doktor obojga praw, przyjęty został w hotelu „Pod złotą Koroną” przez hrabiego K. Po wymianie zdawkowych uprzejmości hrabia przedstawił adwokatowi dwóch panów o dwiędzecznych polskich nazwiskach jako swoich pełnomocników jako że „...rozsądność moich interesów, a także interesów żony wymaga, aby ktoś ciągle nad nimi czuwał, panowie znają kwestię w sprawie której Pana fatyguję” i hrabia przeszedł do rzeczy: „...rodzina mojej żony przeciwna była małżeństwu jedynie

córką ze mną. Kiedy to się jednak wbrew ich woli stało, zerwali wszelkie stosunki i jakiegokolwiek wysiłki pojednania z naszej strony były bezowocne. Nawet złożone przeze mnie oświadczenie o rezygnacji z prawa do dziedziczenia po żonie nie zmieniło nic w stosunkach z jej rodziną. Gorzej, niechęć do mojej osoby przerodziła się w nienawiść. Wobec takiej postawy, hrabina K., moja żona, postanowiła wykluczyć swoich bliźszych i dalszych krewnych z grona po niej dziedziczących i cały swój majątek zapisać na mnie. Pan, panie Doktorze, ma tej decyzji nadać formę prawną. Oto jest pańskie zadanie!”, zakonczył swoją wypowiedź hrabia K. Obaj panowie pełno-mocnicy, świadkowie tej rozmowy milczeli. Jeremiasz Anders poprosił o czas do namysłu. Sprawa nie jest prosta. Wymaga dodatkowych wyjaśnień. Za dzień lub dwa pan hrabia otrzyma wia-żącą odpowiedź. Tak stanęło. Kiedy adwokat opuszczał apartament hotelowy hrabostwa K., z sąsiadującego pokoju rozległ się głosny kobiecy płacz.

W międzyczasie Anders — junior zbierał dodatkowe informacje. Od personelu hotelowego dowiedział się, że „...hrabina dziwnie się zachowuje... jeszcze nikt ją nie widział z odkrytą twarzą, hrabini nie towarzyszy żadna pokojówka, hrabia do jej pokoju nikt go nie wpuszcza, hotel opuszcza tylko w towarzysztwie męża a jej twarz zakrywa gęstą, czarną welon...”. Hrabostwo nie dysponowało własnym powozem, korzystało z usług hotelowego fia-

kra. Stangret okazał się bardzo rozmo-wny. Podczas spacerów hrabina często głośno wdychała, opowiadała stangretowi, wyzywała Matkę Boską Częstochowską, przeklinała swój los, wołając na prze-mian po niemiecku i po polsku „...żeby go piekło pochłonęło... oddaj mi moje dziecko”, a hrabia z kamien-ną twarzą, przez zaciśnięte zęby „...będziesz milczeć, ty czarownicę”, innym razem znów po francusku wy-krzykiwał chyba bardzo obraźliwe sło-wa, gdyż hrabina ze strachu cisnęła się w najdalszy kąt powozu. Stangret był pe-wny swego, dłuższy czas z Polakami ob-cował i język ich nieźle opłoniwał.

Nadesza także pocztą kurierską odpo-wiedź z Leszna: pani hrabina Ponińska już od roku przebywa we Francji, a jej generalny zarządca nie wie o kimś, mieniącym się być hrabią K. z towarzyszy hrabiny. Jeremiasz An-ders był pewny, że ma do czynienia z oszustem. Gdyby faktycznie hrabia K. przybył do niego z polecenia pani Po-nińskiej, niewątpliwie otrzymałby od niej list polecający Andersa. Dobrze znał panią Ewelinę Ponińską. Nieraz reprezentował jej interesy przed pruskimi sądami i to z powodzeniem dla swojej klientki. Spra-wa pachniała kryminałem — zawyroko-wał pan Anders i zwierzył się ze swo-ich wątpliwości zielonogórskiemu in-spektorowi policji Karolowi Dirschowi. Kiedy po trzech dniach Anders i Dirsch poprosili w hotelu o zaanonsowanie ich hrabiemu K. dowiedzieli się, że hrabio-stwo K. natychmiast po rozmowie z adwokatem opuścił hotel i już nie po-wrócił. Zniknęli także dwaj pełnomoc-nicy hrabiego K.

Jeremiasz Anders mimo wszystko po-stanowił rozwiązać zagadkę hrabio-stwa K. Dzięki swoim rozległym sto-sunkom i znajomościom, także z pol-skimi kancelariami adwokackimi w Po-

znanu, Lesznie, Kaliszu i Warszawie, otrzymał wkrótce ponury obraz tragicznej historii kobiety, zniewolonej przez oszusta, którą los związał, wprawdzie na krótko, także z Zieloną Górą. Otóż Ksaweryna Lubawska, gdyż takie było prawdziwe nazwisko owej nieszczęśliwej kobiety, była córką księcia Lubawskiego, który po upadku powstania 1794 roku udał się na emigrację do Francji. Do ojczyzny wrócił z oddziałem generała Dąbrowskiego. Z Francji powrócił z żoną, matką Ksaweryny. Była ich jedynym dzieckiem, urodzonym krótko przed wybuchem wojny z Rosją. Ojciec poległ w okolicach Smoleńska, matka zmarła krótko po nim. Małenka Ksaweryna zaopiekowała się rodzina ojca. Otrzymała staranne wycho-wanie a także niebagatelną spadkę po jednym z braci jej ojca. Los sprawił, że zarządcą jednego z oddzielczonych przez nią majątków był młody i przystojny Stanisław Kaliński. Rozmawiał on w sobie Ksawerynę do tego stopnia, że dziewczyna nie bacząc na nic, stała mu się we wszystkim uległą. Wkrótce też poczuła się brzemienna. Kaliński, przeczuwając, że sprawy mogą przy-brać niekorzystny dla niego obrót, na-mówił Ksawerynę do ucieczki. Tak też się stało. Niebawem urodziła martwe dziecko. Za wszelką cenę Kaliński pra-gnął uzyskać od Ksaweryny dokument przyznający mu prawo do własności jej majątku. Podawał się za hrabiego K. i prowadził dosyć wystawny tryb życia dzięki pieniądzą uzyskanym ze sprzedaży klejnotów, będących włas-nością Ksaweryny. Inteligencja, spryt i intuicja pozwoliły mu uniknąć wszel-kich przeszkód, a wiedział dobrze, że rodzina Ksaweryny spowodowała roze-słanie za nim listów gończych. Sądził,

że na terenie pruskim już mu nie będzie groziło. Dobral sobie do towarzyszki dwóch podobnych do siebie indywiduów, których opłacał i którzy stano-wili w pewnym sensie jego ochro-nę. Umiejętnie wkładał się także w łaski polskiej szlachty, podając się za ofiarę prześladowań carskich za udział w powstaniu listopadowym. Ksawery-ny nigdy nie opuszczał, nie pozwalał jej także pokazywać się z odkrytą twa-rzą. W hotelach, na stacjach, wszę-dzie tam, gdzie się zatrzymywali, ogła-szał, że „...żona jego jest chora, potrze-buje spokoju, żadna obsługa jest jej niepotrzebna...”. W Zielonej Górze Ka-liński podjął kolejną próbę uzyskania dokumentu, który by mu przyznawał absolutną władzę nad majątkiem Ksaweryny.

Jakie były dalsze losy Ksaweryny Lubawskiej i Stanisława Kalińskiego alias hrabiego K.? Z zachowanych za-pisków Jeremiasza Andersa wynika, że los tej nieszczęśliwej kobiety dopełnił się w Legnicy. Na pół obłąkana Ksawery-na popełniła samobójstwo, rzucając się pod koła rozjeżdżonej dorożki. Kaliński, aresztowany przez policję pruską, wy-dany został władzom carskim, na mocy wystawionych listów gończych. Był ro-syjskim poddanym. Jaki otrzymał wy-rok? O tym papiery adwokata Jeremiasza Andersa nie wspominają.

W roku 1847 kancelaria adwokacka Anders i Syn w Zielonej Górze stanęła w obronie dra Wilhelma Levyschona, wydawcy i księgarza zielonogórskiego, oskarżonego przez władze pruskie o sprzyjanie i propagowanie dążeń nie-podległościowych Polaków. Ale to już całkiem inna historia.

„Poszliśmy. Mieszkała na Mariensztacie. Młodo, cicho, brudna o, ani śladu po fontannach i wesołych tłumach z lat pierwszych po odbudowie. Pokoik, kuchnia. W pokoiku tapczany, regał z książkami, radio, pateron starego typu, może nawet przedwojenny. Szafa otwarta, w szafie jakieś sztuczne futerko, płaszcz, kilkanaście sukienek, na dole kilka par bucików. Na nocnej szafce butelka kołnierz. Trochę płynu brakowało. Popielniczka pełna niedopalków, wszystkie ze śladami szminki, to znaczy, że była palona sama. — Proszę, albo najpierw dziękuję — powiedziała, niosąc popielniczkę do łazienki z sedesem. — Chce pan umyć ręce? — Pomyślałem, że śmierdzą potem, zgrzałem się, niosąc te jej torby, a nie byłam w wannie dwa tygodnie, bo u nas na Targówku wanny nie ma i nie będzie, a płukanie się w miednicy nie daje wielkiej higieny. — Pani pozwoli, to się wykąpie cały — rzekłem. Oparła się o framugę drzwi. Nie nie powiedziała. Musiałem wyjaśnić: — Nie byłam w wannie dwa tygodnie, nie mamy wanny, jestem przepracowany... wykąpie się i wyjdę... — Bez słowa podała mi ręcznik.

„Tego dnia byłam bliska załamania. Znowu przyszedł J.S., żeby uzupełnić pozew. Plakał. Kocho, ale co z tego, kiedy nie może być jej mężem, nie może mówić: leży z nią, stara się wzbudzić w sobie miłość, ona jest jeszcze ciągle taka kochana, nie zezwalała się w czasie jego paletnej nieobecności prawie wcale, myślała o niej przez te wszystkie dni, miesiące, lata, byli dobrą parą, pierwsze miesiące to pasmo rozkoszy, mogli nie odrywać się od siebie całe doby, mieszkanie małe, ale po co większe, mogło mieć rozmiar tapczanu, potem się zapłacił w Klub Piątego Koła, dał się porwać rektorowi i sam został rektorem, nie wiedząc z kim idzie w zaprzęg, posadził go tak nagle, że nie mógł przysięść do siebie, mówi, przez pół roku, mijał się po celi, obrażał prokuratorów i adwokatów z urzędu, krzyczał, że nie winien, ale mu dowiedli winę, spisek, dziś nie można dociec, kto kogo wpakował, komu zależało na tym, żeby siedział razem z liderami „taterników”, z niektórymi, bo część wyjechała, nie to dziś ważne, w więzieniu nabawił się impotencji do pedałstwa się nie przynajmniej, owszem, onania to było wszystko, ale po wyjściu nie był już ani mężem, ani kochankiem, ani człowiekiem w ogóle, tak mówił, nie jestem człowiekiem, pani nie ma pojęcia, pani nie może mieć pojęcia, co to jest w człowieku człowiek, w czło- wieku to jest sprężysty fallus, fallus to jest ten hak, na którym kobieta zawiesza swój los, pani przecież wie, że mężczyzna bez fallusa jest sieczką, stołkiem, kółkiem, atrapą, a to chłop rosły, śliczny, bary takie, nozi jak słupy, pięści drwa- la, kanciasty podbródek — silna wola, oczy jasne, brwi szerokie, słomiane, nastrożone, na oko wzorowy samiec, do tego jeszcze inteligent, może nawet intelektualista, czytany, wszechstronny, maluje, gra, cytuję filozofów, wyobraziłam sobie, że gdyby w nim odciecię mężczyzny — był by to wielki rys ludzkości, nie można takich mężczyzn skazywać na śmierć, bo czymże jest życie takiego mężczyzny? Pozew wnosili on, nie ona, wziął na siebie całe odium, mówił, pisałam dokładnie, że podczas pobytu w więzieniu naba- wił się pederastii i nie ma prawa skazywać żony na katusze, a nie nie może na to poradzić. Oczywiście, tylko on mógł tak zeznać, jej zezna- nie byłoby na nic, sąd uznałby je za pomówie- nie, jakże mogła tego dowiedzieć. Była u mnie, pla- kała, jak mała dziewczynka, mówiła: „popelni samobójstwo, bo ten człowiek jest dla niej stracony, a ona nie może bez niego, gotowa być z nim bez seksu ostatecznie, to można sobie jakoś ułożyć, są przecież sposoby bez zdrady, nigdy go nie zdradziła, tylko było chętnych na jego miej- sce, przede wszystkim najlepszy koleś, ale ona przysięgała mu wierność, ponieważ był jej wart, tak jest, był jej wart — jej wierności, nie jest suka, nie ma ciećki, nie musi koniecznie, pani wie, proponowała mu sposoby zastępcze, ale dla niego to był właśnie najboleśniejszy policzek. Byłaby dla niej protezą mężczyzny? Lekarze nie potrafili nic poradzić, żadne johambiny, żad- ne stymulatory, maści, męskość J.S. była do- szczerpnie zdruzgotana, a mnie się... dawało, że to jest autosugestia, że to jest mówienie sobie, że wystarczy odważyć z niego tę górę uprzedzeń i rojeń, żeby zabyłszy znowu samiec w jego oku. Miał trzydzieści lat, musiałam patrzeć na niego bardziej okiem samicy niż adwokata, bo uciekł wzrokiem w okno, zdawał sobie sprawę z wyrazu moich oczu, powiedziałam, że w USA leczy się takie przypadki, stosując terapię naj- zwykłą, kobiety, przyuczone pielęgnarki, specjalistki od męskiej psychy i męskiego libi- do, potrafią nawet beznadziejne wypadki leczyć... Pomyślałam, że takiego mężczyznę, gdybym była pielęgnarką, wzięłabym w obroty i zrobiła wszystko, żeby go przywrócić życiu. Musiałam się zarumienić, zauważył to, pojął. W jego oku błysnęła myśl taka sama. Powiedział: próbowa- łem, proszę pani, ona mi podsuwała różne pro- stytutki, sprowadzała do domu najładniejsze, po- czytała bonów peka, bo one nie biorą złotych, zamylała nas i te dziewczyny... Zalkał jak dziecko.

Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, zaprosi- łał go do siebie, na rozmowę spokojną, ponie- waż w łóżku jest taki ruch, taki hałas. Przyszedł z kwiatami. Przyniósł koniak. Był śpiący, drżał. Patrzył na swoje ręce, śniły mi palce, zawsze śniły mi palce, kiedy jestem zdenerwowana. Było to straszne uczucie: pragnęłam stać się je- go pielęgnarką, ratowniczką, zapomniałam o ety- ce zawodu adwokata, psu na bude wszystkie ety- ki, życie jest takie niesamowite! Uwierzyłam, że ja, obca kobieta, której wyznał wszystko, ja jedna mogę go wrócić życiu, bo był trupem. Staralam się być miękka, kochająca, i byłam mi- ła, kochająca, nie jestem ładna, ale jestem koch- ąca, wypiliśmy po kieliszku koniaku, mówił o niej, jaka jest dobra, świetlana, oddana i jaka była kiedyś zmysłowa, jaka cudowna kochanka, mó- wił i lzy miały w oczach i w tych oczach świeci- ło błaganie i nadzieja, wiedział wszystko o psy- choterapii i psychoanalizie, i o tych sposobach a- merykańskich hochsztaplerów, bo ich za hochsztaplerów uważano, powiedziałam, że to, co mam zamiar mu zaproponować, będzie może niestosowne, może — uzna- ła mnie za dziwka, która korzysta z nie- szczęścia swojego klienta, ale to jest poza dysku- sją, nigdy na coś podobnego nie byłabym się zdobyła, po prostu nie ma pozwu, nie ma klien- ta, nie ma adwokacki, jest kobieta i mężczyzna... Leżał obok siebie nadszy, jego wspaniałe skie- piona pierś, kędziarzawa, wyniosła, jego apollin- ska talia, jego śliczne uszyta moshna, byłam o- czarowana proporcjami, leżał nieruchomo, bał się wykonać bodaj gestu, zmał się z własną kłes-

ką, czekając na cud mojej ręki, moich ust, byłam oszołomiona, nigdy jeszcze nie miałam obok się- bie takiego arcydzieła gatunku, mógłby go rzeź- bić Michał Anioł, modliłam się do Boga, do wszystkich świętych, żeby dał moim dłoniom i moim ustom moc uzdrawiania, stałam się kap- lanką, tak, kaplanką jego ciała i jakiegoś dozna- ła nagłego uwznioślenia, gdy jego skurczony, zesromany członek drgnął w pewnej chwili, po- czął się napępiać krwią, podniósł zaróżowioną głowę i kiedy poczułam ją całować, pieścić o- biema dłońmi, wyprężył się na sekundę na całą wspaniałą wysokość i zwiódł, skarlał, szczył, za- łał się pod skórę. J.S. zawył jak zraniony dzik, ściął mnie z łóżka, porwał odzież, począł się gwałtownie ubierać i niedozapinany wyskoczył na klatkę schodową, wypychając w biegu koszulę za pasek spodni. Nie mogłam przysięść do siebie, byłam podniecona, moje ciało zachowywało się jak wulkan, pobiegłam do łazienki, wylałam na siebie z tonę zimnej wody, kąkałam sobie: spokój, spokój, nie jesteś pielęgnarką, jesteś ad- wokatem, spokój, tak nie wolno, oszalejesz. U- brałam się, wzięłam torby, żeby nie być w tym mieszkaniu, żeby nie wdychać jego zapachu, pa- chniało mi tym człowiekiem. Porobiłam jakieś kretynskie zakupy, więcej wszystkiego, niż po-

MAGDA ALBO POJEDYNEK

Bohdan Drozdowski



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

rzeba na tydzień i, żeby nie wracać do domu, pojechałam do Łazienek. Chciałam być objuczo- na, i byłam objuczona. Kiedy nogi przestały mnie wlec, poczułam się rozglądać za miejscem na ławce. To jacyś starcy, tam jakiś chudzielec z gazetą. Zupełne przeciwieństwo J.S., pierś za- padła, twarz alkoholika. Napisał jakiś tekst w notesie, potem się okazało, że to był wiersz o mnie. Porównał mnie do kowalczyka. Potem był arogancko zaczepny, wyraźnie chciał mnie wlaść na kontre, inaczej, niż on to robią. Cu- chnął potem, wydał mi się doskonałym przeci- wieństwem J.S., a tamtym byłam zaczadzona.

Wyszłam po kwadransie rzeczywiście orzeź- wiony i pachnący mydłem. Pot pachniał tylko w mojej koszuli, ale ciało nie przydawało jej smro- du. Siedziała na tapczanie, oparta o poduszkę przy ścianie, była bosa, miała śliczne stopki. Pa- liła, trzymała kieliszek. Drugi napelnięty, stał na szafce i czekał.

Pomyślałam, że oto jest przystań bezdomnego wędrowca, ale sterczałam przy drzwiach, robiąc przy tym wrażenie, że już sobie chcę pójść. Po- wiedziała: — Proszę, to za przyniesienie bagażu — jak do bagażowego. — Zbyt dobrze pani mi okazujesz. — Uśmiechnęła się pogodnie. — Nie powie mi pan, że się wybiera w drogę — rzekła, wskazując fotelik pleciony naprzeciw tapczanu. — Skąd pani wie, że się nie wybieram? — Zawsze pan kłamie? — Wypła swój koniak do połowy i podała mi drugi kieliszek. — Wyglą- da pan na wymoczone strawnego przez alkohol — dodała trzymając kieliszek w palcach. — W takim razie mogę pani dowiedzieć, że nie jestem wymoczone strawnym przez alkohol — siad- łem na foteliku, postawiłem stopy (pięty) na tap- czanie obok jej nóg i wychyliłem kieliszek. — Pomyślałam sobie, że musi pani cierpieć katu- sze niedopieczczenia, więc nawet taki wymoczek strawnego alkoholem jak ja może na pani zro- bić silne wrażenie, a ja robię to dobrze. — Pod- niosła brwi. Mój kontratak przyleciał ze spoko- jem, ponieważ jej atak nie był obliczony na nie- innego. Prowokowała mnie, zdobywała przez od- wrotność, nie żadna tam kokietliwość, nie te lał-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

kowate ple-pie i rąbek stanika, ale atak. — Pro- szę sobie wyobrazić — powiedziała nagle, sięga- jąc po duży, oprawiony w deskę album — biorę honoraria w naturze... — Otworzyła album. By- ły tam fotografie mężczyzny, przeważnie w drel- chach więźniów. — Nikt tak dobrze tego nie ro- bi jak wdzięczny mężczyzna — powiedziałam, spo- glądając na twarz z albumu. Były różne, choć- kolwiek jednakowe.

W jej oczach błyszczała beczelność starej kur- wy i to mnie podniecało coraz bardziej. Jej na- pastliwość domagała się pogrzebienia. Przecież mogła kolekcjonować tych facetów dla hobby, zamiast pamiętnika — żeby swoich klientów, za- den z nich nigdy nie był w mieszkaniu, nigdy jej nie tlał. Powiedziałam: — Pani jest mito- manka, żaden z nich nigdy tu nie był, pani się- łą straciła reputację nieprzekupnej, praworząd- nej adwokacki. Widząc to panie mieszkanie, wi-

nim, z tą przypadkową ofiarą chwyconą w parku- łażeniowski tak znieczeka. Zamknęłam się w- łażenie.

„Słyszałam szum przysznica i klaskanie jej dło- ni, a słysząc widziałam ją, wyobraziłam sobie- ła. Siedziała na foteliku, ale nogi zdjąłem z tap- czanu, ta poza była już bez wartości, siedziałam- łażony, jakby się bał, bo bałem się napraw- ła. Po takiej przechwałce plaża — to byłoby- łażony, nigdy już bym się nie odważył jej spot- łać ani tu zostać. Chciałam u niej zostać i- łażony, tak sądziłam, zależało od mojego przy- łażona. Otworzyła drzwi, zanim zdążyłem go- łażony, parskała śmiechem, podeszła, gdy spe- łażony pakowałałem go w rozporek, położyła dło- ni na moich dłoniach, powiedziała — zostaw- łażony, on taki śliczny! — Po czym ścisnęła ze- łażony spodem i siadła na nim, po prostu. Żadna- łażony moich dziewczyn tak nie przeżywała orgazmu- łażony żadna nie dała takiego doznania, to było coś- łażony porażenie prądem, rozkosz nie sekundowa, ale- łażony rozciągnięta na kilkanaście sekund, rozkosz nie- łażony do wytrzymania, nie wiedziałam, że można- łażony wpaść w taką ekstazę, to było niesamowite. Otworzy- łażony oczy i poczęła mi się bardzo uważnie przy- łażony trwać. Coś musiała do mnie mówić z zamknię- łażony mi ustami, dużo mówić, ale mogłem się tylko do- łażony myślać.

„Oszalałam. To chyba historia seksualna, to- łażony była nagara żądzy, czegoś takiego jeszcze nie- łażony przeżyłam. Brałam go z zemsty i rozpacz, a- łażony wywaliło się ze mnie tyle wyuzdania, ile można- łażony wyżyć chyba tylko z najbardziej wyrafinowanych- łażony filmów porno, jakie udało mi się oglądać w Ko- łażony penhadze, posunęłam się do czynów i gestów, na- łażony jakie dotychczas nie zdobyłam się nawet w myś- łażony lach. Coś się we mnie oberwało, przestałam- łażony widzieć jego i siebie, to się wszystko nagle- łażony skłębilo w jeden kłak, w grupę Laokoona, w obrzęd- łażony magiczny, w kult Phallosa antyczny... Rwało mi- łażony się wszystko, byłam nagle rozbuchana, jakby- łażony dostała wściekłej macy, pragnęłam sięgnąć- łażony nieba poprzez zagrzebanie się w bagnie, chla- łażony lam, tak, chciałam i wyznaję to bez wstydu, że- łażony bym nie zaj... na śmierć i używałam najbrudniej- łażony szych słów i szukałam w nich oczyszczenia. Ile- łażony razy szykowałam tego dnia ku takiej ekstazie, o- łażony jakiej nigdy nawet nie czytałam — nie wiem, nie- łażony pamiętam, ten człowiek miał wytrzymałość- łażony woli, mdałam z rykiem przy każdym orgazmie, a- łażony przelatywały przeze mnie jak pociąg ekspres- łażony wy, jak piorun długo i dudniąc: i pragnęłam- łażony go znowu i jeszcze do skonań. Coś zaświtało, co- łażonyś we mnie zawył, zupełnie nie wiem, on mó- łażony wił, że nie znał kobiet, poznałam, że nie znam- łażony siebie. Był ze mną pochylony nad moimi plecami, gdy- łażony moje prawe ramię zgięło się i łokciem- łażony wymierzył mi cios tak straszny, że wyleciał z- łażony wanny, tłukąc głową o sedes. Zamarałam z- łażony przerażenia.

Chciałam natychmiast wyjść, szarpałam się z- łażony nogawką spodni, którą ona wywlokła na wierzch, kiedy- łażony stanęła za mną i całując mnie w plecy poczęła- łażony pieścić moje przyjaciele, który, obra- łażony żony zwiślał pogardliwie w postanowieniu srogim, że- łażony nigdy już nie odwiedzi jej pieczary. Ale Ma- łażony gda wiedziała więcej o nim niż on sam, po chwi- łażony li miała go dla siebie, ujęła w obie dłonie jak- łażony miotek i poczęła go masować ruchem płynnym, fachowo, jak- łażony masażystka nogę. Powiedziała: — Chcę- łażony zobaczyć, jak on płacze... — I zobaczyła. — To- łażony jest właśnie wspaniałe! — wykrzyknęła. — Nigdy- łażony tego nie widziałam, zawsze tylko czułam to- łażony cudowne uderzenie spermy gdzieś w samo dno- łażony mojej duszy i zawsze chciałam to zobaczyć! — Kłęk- łażonynęła przede mną. Jej język począł mnie uno- łażony sić nad ziemi, ruchem wirowym mięścisła dopro- łażony wadzała mnie do stanu, jakiego także nie znałam- łażony wcześniej, żadna z dziewczyn nie miała pojęcia, jak- łażony to można robić i ja nie miałam pojęcia, co się- łażony przy tym czuje, dopiero Magda wypełniła treścią- łażony łacińskie słowo pojawiające się teraz co- łażony tydzień w młodzieżowych tygodnikach — „ora- łażony lizm”. I tak zostałam przy niej, rozdergana, nie- łażony nasycona, pragnąc jej jeszcze raz na dobie. Magda- łażony zmieniła się, była rumiana, żywa, śpiewa- łażony jąca, choć padała z nóg. Wyskakiwała z sądów- łażony zawsze, kiedy miała przerwy, dopadaliśmy do- łażony siebie, sycilił sobą i wracała do swoich krymi- łażony nalistów i rozwodników, ja zaś zapadałam w le- łażony targ, choć obiecywałam jej, że będę pisała albo- łażony przynajmniej czytała. (...)

Przyglądałam się jej, starałam się wniknąć w- łażony jej serce, ale bez przesady, bez przesady, nie- łażony chce ze mną w ogóle rozmawiać o swych spra- łażony wach zawodowych, nie chce słuchać niczego o mo- łażony ich — jest dla mnie, mówi, tylko i wyłącznie ko- łażony bieta, ja dla niej tylko wyłącznie mężczyzną, trzeba- łażony sobie stworzyć czyli chronić przed in- łażony wazją świata zewnętrznego, nie trzeba? Trzeba. Jeżeli- łażony usuwamy całą resztę świata, pozostaje tyl- łażony ko parzenie się ciał, ucieczka w krótkie eksta- łażony zy, w zachwyt i zapomnienie. To mało? Nie- łażony wiem, ale to mnie łączy. Już mnie łączy. Zaraz- łażony potem opada mnie ciężość i smutek i wtedy wi- łażony dzę całą swoją nędzę, niewartość mojego życia, które- łażony się nie chciało spełnić. Kim ja jestem? Ni- łażony kim. Czym? Niczym. Skryłem głowę pod klekce- łażony tej brzydkiej adwokacki i mam zamiar tak prze- łażony trwać całe moje marne, puste życie. Dobrze, pójd- łażonyz gdzieś, i co uratuję w sobie, dla siebie, dla- łażony niej? Co mi da praca w jakimś kanale pod samo- łażony chodem? Trochę pieniędzy i ból stawów. Co mi- łażony daje jakiś druk jakiegos wiersza? Nie, ssanie w- łażony żóładku i gwałtowna ochota załania pały, wstyd- łażony przed sobą, bo to przecież ucieczka od tego świa- łażony ta, a nie podpisywanie listy obecności. Kiedy się- łażony do mnie zbliża, wykpana, pachnąca mydłem, staram- łażony się wytrząść z mojego mózgu te wszyst- łażony kie myśli i nie podnoszę głowy powyżej jej ra- łażony mion nasładować oczy rzeżącą jej cięta. I to jest- łażony także ozustwo...

(Fragment opowiadania pt. „Magda albo pojedynek”- łażony pochodzi z tomu „Kobiety i ludzie”, wyd. „Książka- łażony i Wiedza”, Warszawa 1987 r.)

Przedsiębiorstwo Zagraniczne Zakład Elektroniki

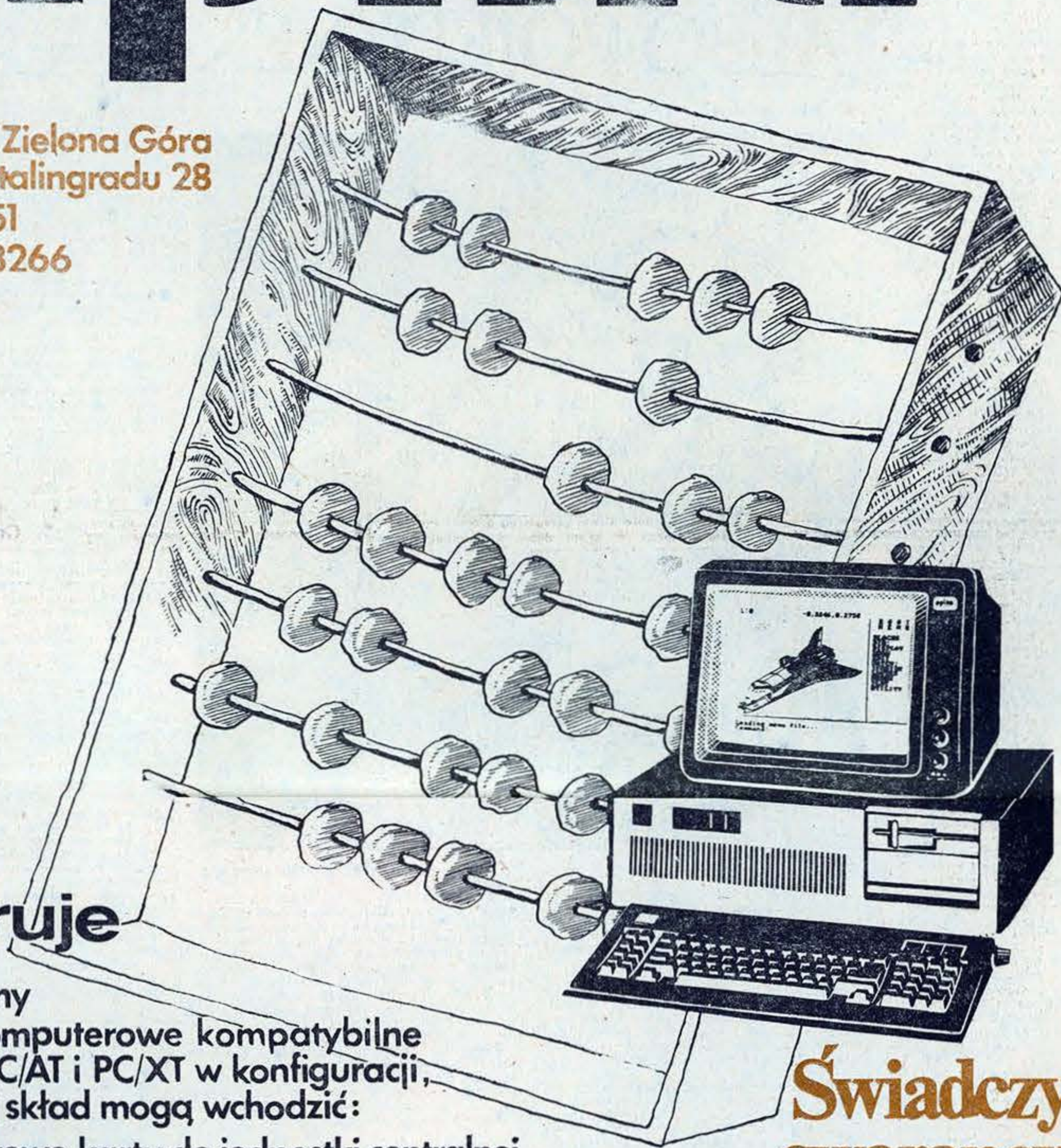
apina

65-067 Zielona Góra
ul. Boh. Stalingradu 28
tel. 33-51
tlx. 0433266

oferuje

- systemy mikrokomputerowe kompatybilne z IBM PC/AT i PC/XT w konfiguracji, w której skład mogą wchodzić:
- dodatkowe karty do jednostki centralnej
- koprocесory
- napędy dysków elastycznych
- dyski twarde
- monitory
- streamery
- plottery
- drukarki
- modemy
- terminale
- karty sieci

**Świadczymy
gwarancyjne
oraz pogwarancyjne
usługi serwisowe
sprzętu zakupionego
w naszym Przedsiębiorstwie**



K-037

POSTAWY

Ministrowi Kultury i Sztuki
Ministrowi Edukacji Narodowej
Przewodniczącemu Narodowej Rady Kultury

Byliśmy krajem bardzo biednym, mającym mnóstwo wydatków na odbudowę Warszawy i budowę Nowej Huty. Młodzi ludzie z maturą w kieszeni, 200 i bez niej, nieśli kaganek oświaty. Pod strzechami, przy lampie naftowej, uczyli ludzi czytać i pisać. Pod strzechy przychodził ktoś całkiem inny, ale Mickiewicz szansę miał.

W tym bardzo biednym kraju „Pan Tadeusz” kosztował tyle, co paczka przeciętnych papierosów. W masowych nakładach, na klepskim papierze, drukowano utwory wielkich ze Wschodu i Zachodu. Również wielkich polskich. Właśnie po cenie papierosów. Ucznia stać było na zakup kompletu dzieł Sienkiewicza, drukowanych na dobrym papierze, w solidnej, płóciennej oprawie. Kupował poszczególne tomy za skromne kieszonkowe. Dziś komplet tych dzieł zrujnowałby budżet domowy niezarabiającego inżyniera.

Czas taniej książki skończył się w latach sześćdziesiątych. Przestała ona być narzędziem masowego organizowania i podnoszenia na wyższy poziom świadomości Polaków.

Teraz powiadamy również, że jesteśmy krajem biednym. Choć bieda tamta, do tej obecnej, ma się tak jak pięść do nosa. Oprócz Warszawy i Nowej Huty mamy mnóstwo innych rzeczy świadczących o czasie niezmarnowa-

Barbarzyńcy zejda z gór

nym. Nie mamy strzech i lamp naftowych. Jednak książki, które obecnie drukujemy, jeśli idzie o poligrafie i papier, są relatywnie równie podłe jak wtedy, gdy głównym naszym wrogiem były gruźlica, stonka ziemniaczana i mnóstwo innych plag. Tyle tylko, że klepski druk na marnym papierze ma cenę wielokrotnie przekraczającą wartość paczki papierosów „Klubowych”, jak powszechnie wiadomo wytwarzanych ze zużytych wojskowych onuc zmieszanych ze słomą i siano.

Przeciętnego ucznia nie stać na komplet Sienkiewicza za dwu lub trzymiesięczne kieszonkowe. Ba! nad takim zakupem mocno zastanowi się lekarz, dziennikarz, nauczyciel. Edytorstwo przestało być elementem oddziaływania na świadomość, elementem inżynierii społecznej a stać się ma takim samym interesem jak produkcja emaliowanych garnków. Złoty cielec wprzęgnięty w rydwan naszych wydawców, przy bliższym przyjrzeniu się, jest ochwacną chabeta. Niemal osiemdziesiąt procent ceny książki pokrywa koszt druku. Połowa dzielona jest między autora, wydawcę, a reszta trafia do trzema biednymi dobroczyńcami. Każda instytucja charytatywna jest biedna. Złoty cielec jako siła pociągowa wydawców, wymusza na nich publikowanie kitu, z którym przegrzywa ambitna literatura. W końcu zaś, na interesie edytorskim, przegrzywa wszyscy. Leśnicy, którym brakuje drzew do rąbania, podnoszą cenę, chcą brać w dolarach. Pałernicy są zdęgotowani stosunkami ekonomicznymi, chcą więcej. Tęgo samego pragną drukarze. Wśród przega-

nych są autorzy, wydawcy, księgarze, czytelnicy, których często już nie stać na gromadzenie i czytanie lektur zawodowych. W końcu traci również państwo, któremu wymyka się z rąk ważne narzędzie wpływania na świadomość obywateli. Co to za interes, jeśli tracą na nim wszyscy?

Obecnie twardy przymus ekonomiczny doprowadził do znacznego podniesienia cen gazet i czasopism. Pożeracze informacji i myśli, które przez czasopismo, najszybciej docierają do ludzi, będą musieli ograniczyć swoje apetyty. Zagłada grozi niektórym czasopismom i tak posiadającym niskie nakłady, bez których jednak, peją kultury polskiej będzie znacznie zubożony. Jeśli ruch edytorski, mam tu na myśli również prasę, będzie dalej ewoluował w tym kierunku, to sztuka czytania stanie się luksusem dostępnym tylko nie licznym. Barbarzyńcy zejda z gór!

W tej czarnej perspektywie tkwi jednak pewna szansa. Młodzi magistrowie, dla których ciężko nabyte kwalifikacje nie są żadną wartością, nie fatygujący się nawet odbierać dyplomu ukończenia studiów, bo zajęci są poszukiwaniem innych horyzontów finansowych, nagle zyskują perspektywę. Skoro szczerze wiedzy jest interesem nieopłacalnym, należy rzecz postawić na głowie, zadać pytanie: a może opłaca się organizowanie pospiesznych kursów analfabetyzacji społeczeństwa? Analfabetom jest dobrze. Nie mają dyematów. Być może o to chodzi.

RYSZARD ROWIŃSKI

okolicach Złaz

1. I oto ruszyła znów karuzela Danielaków. Złazna pogoń za Ameryką. Tabuny wygłodniałych facetów. Głowa przy głowie, i ta ślina na ustach. Potok śliny. Potok męskiej śliny zalewa kraj, od Suwałk po Zieloną Górę. A za tym potokiem z determinacją płynie rzeka pożądania.

2. Być Polakiem nieszczęśliwym, to nie móc brać udziału w wyborach Miss Polonia. Stąd też wielu Polaków jest nieszczęśliwych i pracuje źle. Na wybory Miss-ek byle kto nie może się dostać. Robotnik z „Zastali” rzecz jasna pójść nie może. Nie dlatego, że swoim wyglądem mógłby zburzyć świat iluzji, lecz za resztę z 2.000 zł. nie mógłby kupić sobie paczki papierosów. Miss — to pieniądź, a — pieniądź nie „ubi fraterów”. Show-bisness jest dla ludzi mocnych, dla ludzi z charakterem. Na Miss-kach zarabia się szmal, Miss-ki się bierze jak jako z brudnej lady sklepowej. Ubi się na patelni i je z apetytem.

3. Jest tu wszystko: ludzie i kreatury, pieniądź i seks, cynszokowe wyrazy i eleganci świat. Ale przede wszystkim jest zawrotny awans: przejście z przemyśleń bruk uliczny do nieba a la Hollywood. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej fantastycznego? Nie można sobie tego wyobrazić, jak nie można wyobrazić sobie bieli nieskażonej. Bo takiego koloru nikt nie używa na imprezach typu Miss Polonia. Są natomiast specje od rozrywki, którzy zamiast drugiej Japonii uruchamiają kampanię budowy drugiej Ameryki. Chca być szczyrzy i przebojowi. Ale im więcej są szczyrzy i przebojowi, tym więcej jest śliny na ustach. Przypomina mi się w tym miejscu pewnie

zdarzenie z okresu kiedy byłem kimś i zielonogórskie mieszczaństwo (było to w erze Gierka) zapraszało mnie na różne rauty (por. powieść „Dział ogłoszeń”). Otoż spotkałem tam malarza, któremu ówczesni decydenci wmawiali, aby w swej twórczości był szczyry. Węć zaczął on malować wyłącznie genitalia, zaś w salonie BWA urządził happening w postaci publicznego onanizowania się. W jego mniemaniu była to bowiem prowokacja intelektualna.

4. Czy wybory Miss Polonia mogą być intelektualną prowokacją? Jeżeli społeczeństwu serwuje się ileś tam panienek, do wyboru — do koloru, ubrań i rozebranych, w końcu nakazuje wybrać je według własnego gustu, ale już kategorycznie zabrania się zaciągnięcia wybrankę do łóżka — czyż to nie jest prowokacja? Kto kogo tu robi w bałona? Dlaczego Danielak może, a Kowalski nie? Tak, biorąc mnie diabli, bo jestem Kowalskim, a mogłem być już od dawna Danielakiem. Swego czasu pracowałem w Estradzie jako organizator-reżyser imprez. Aby otrzymać pod swoją opiekę reprezentacyjny zespół, na którym można było zarobić szmal, pierwsi należało do Odpowiedniej Osoby pójść do „Topazu”, potem się przespaci, a na koniec współpracownikom wyprawić tzw. „baletki”, czyli mocno zakrapiane przyjęcie, na którym było wszystko, co mógł ludzki żołądek po pianemu wymyśleć. Odpowiednia Osoba była brzydka i stara, ja natomiast młody i głupi. Do łóżka nie poszedłem i tak nie zostałem Danielakiem.

5. „Zdobycie sławy, zdobycie wpływu, zdobycie pieniędzy, zdobyć byle jak — wszystko to by być szczęśliwym — byle gdzie

być jak — sprzedać ciało sprzedać duszę — jak najlepiej sprzedać siebie — sprzedać myśli sprzedać słowa — by odpocząć kiedyś w niebie — codzienna prostytutka powszechna na prostytutka.” — śpiewał kiedyś swój przebrój zespół TSA. Ale o to chodzi, że trzeba widzieć proporcje. Coś za coś. Dziewczęta decydujące się brać udział w konkursach, na ogół — zakładając, że mówią prawdę — skłaniają się przez mamusię lub przez narzeczonego, co można w tym miejscu brać z podtekstem. Potem przychodzą zawodowi Danielakowie i wpuszczają te dziewczęta z premedytacją w kanał, na końcu którego polyskuje auto marki Toyota. I aby ten kanał przebrnąć kanał oblepiony Danielakami, kanał zawieszony, kanał karmiony nadzieją, trzeba nie lada zręczności. Są to prawa dżungli, okraszone tzw. życiem codziennym Polaka: tu i tu ukleknąć, a tam przespacić się, tu schylić głowę, tu powiedzieć to, na co w ogóle nie ma się ochoty.

6. W wyborach Miss nie chodzi o wybranie tej najładniejszej. Najładniejszą dziewczętą są na ulicy, w kolejkach, w sklepach, w zakładach pracy, ale rządko na estradach. Jeżeli już taka dziewczyna gna na deskę, to gna nie dlatego, że piersi i tyłek ma na odpowiednim miejscu, lecz po to by zaspokoić swe żądze materialne, które nie będą owocem uczciwej pracy, bez atrybutów nagłego ciała. Jedną z pretendentek do korony Miss, szczerze wyznała przed kamerą DTW: „Chcę być modelką. Kocham publiczność. Oddaję się jej”. I o to właśnie w tym wszystkim chodzi.

ZBIGNIEW M. JELINEK

Danielaki

„Sztukę kochania” Wisłockiej jako bajki Krasickiego — uesola zabawa w łóżku z udziałem niedźwiedzia i czapli itd. Mijemy nadzieję, że droga wskazana przez Zary postąpią w przyszłym roku i inne zespoły, które zresztą przez ten rok odpowiednio podrosną”. Droga z Zar jest drogą słuszną.

PODATEK OD KRZESŁA. Jak poinformowała telewizyjna Panorama Dnia z 18 lutego br., uczniowie gorzowskiego Technikum Rolniczego zostali opodatkowani po tysiąc złotych za krzesło. I słusznie. Przyszli wykwalifikowani rolnicy nie powinni siedzieć na krzesłach, lecz zajmować wygodne fotele.

KAPLAN „WIECZNEGO OGNIA.” Pod takim tytułem M.J. pisze w polskim wydaniu „Literatury Radzieckiej” (nr 1) o twórczości Ryszarda Liskowackiego w związku z przełożeniem na język rosyjski i wydaniem prozy pisarza pt. „Żywy wieczny”. „Liskowacki ze zdumiewającą dokładnością oddaje gorące tchnienie każdego słowno przemienionego dnia...” — pisze M.J. Zapewne po takim panegiryku „kaplan” ze Szczecina zostanie pralatem polskiej prozy.

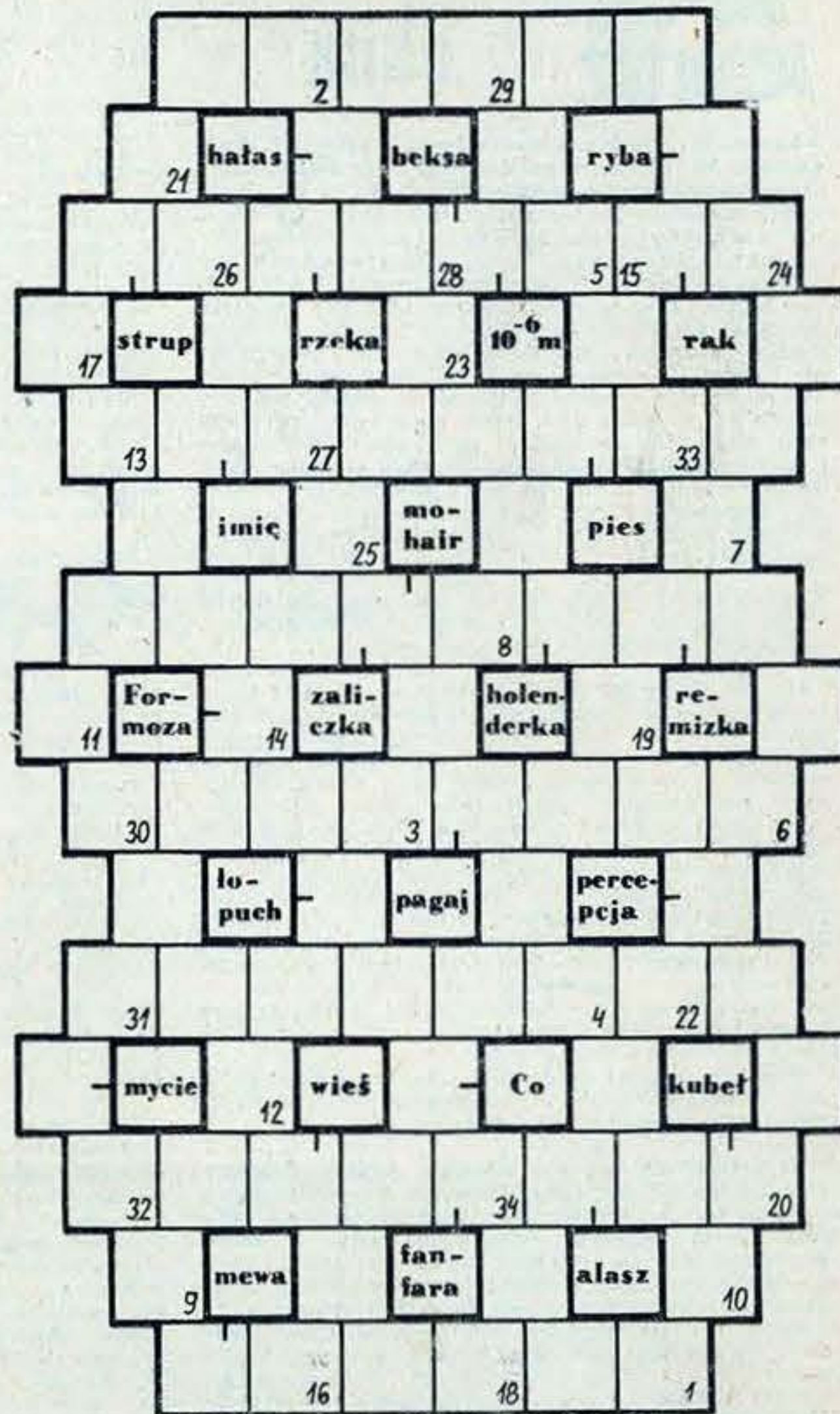
GAZ CZY BUTELKA? W telewizyjnym magazynie „Kram” (16 luty br.) poinformowano, że pewna obywatelka,

pragnąc ugasić pragnienie, sięgnęła po butelkę wody sodowej. Butelka wybuchła i zranila kobietę. Producent sypcha winę na Zagłębie Huty Szkła w Ilowej. Zwykle butelka kojarzy nam się z gazem, później — kaczem. W tym wypadku mamy do czynienia z dyktandem: gaz czy butelka?

REHABILITACJA KSIĘDZA BAKI W związku z wydaniem „Poezji” Józefa Baki, który przez 200 lat był symbolem grafomanstwa (prof. Ignacy Chrząnowski: „wiersze a la Baka oznaczają głupie wiersze, i słusznie”, Zdzisław Libera: dzieło Baki „pozbawione jest wszelkich cech artyzmu” podobnie krytycznie pisał wcześniej Juliusz Kleiner) — na łamach „Przeglądu Powszechnego” (nr 2) Piotr Wilczek dokonuje rehabilitacji autora pisząc: „Najnowsza, pełna edycja „Poezji” daje szansę, by Bakę czytać „wprost” — jako poetę rzeczy ostatecznych, poetę śmierci i piekła i nieba.” Organ jezuitów ekshumuje poetę — jezuitę. Czy jest w tym coś dziwnego?

DNI KSIĄŻKI ROLNICZEJ. Luty jest tradycyjnie wyznaczony na popularyzację książki rolniczej. Tymczasem, w wielkich placówkach kultury nie nie wskazywało, aby pamiętać o tej tradycji. Może więc zrezygnować z jeszcze jednej fikcji?

nadodrze Rozrywki umysłowe



WIROWKA
Oprac. Wiesław PYZEWICZ

Kierunek wpisywania wyrazów prawoskrętny. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 34 utworzą rozwiązanie — fraszkę Jana Sztudyngera, którą prosimy przesyłać na adres naszej redakcji z naklejonym kuponem, w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Do wylosowania będzie nagroda książkowa wartości ok. 1000 zł.



ROZWIĄZANIE WIROWKI Z NR 3:

„Czterdziesta trzecia rocznica wyzwolenia Zielonej Góry”. Nagrodę książkową wartości ok. 1000 zł wylosował p. Krystian Winkler zam. ul. Kraszewskie go 29/6, 45-363 Opole. Gratulujemy.

Adam Bagiński—artysta malarz



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA

MaRGINAŁKI

MŁODZIEŻ A EROTYKA. Marek Kasz w „Kulturze” (nr 7) zajmuje się Konfrontacją Zespołów Teatralnych Małych Form — IX Biesiadą Teatralną, które odbyły się w Horyńcu Zdroju, w woj. przemyskim. Wśród uczestników przeważała młodzież szkolna. Autor pisze: „dużym rozczarowaniem było to, że po wycofaniu przez ministra edukacji narodowej z programów szkolnych słynnego podręcznika pt. „Przygotowanie do życia w rodzinie” młodzież nasza prawie do końca straciła zainteresowanie seksem. Na horyńskie scenie nie pojawił się ani jeden po całunek... (L.) Jeden jedyny zespół z Zar, który wystawił „Serenadę” Mroźka, pod pretekstem przedstawienia sytuacji w kurniku, zaprezentował nam popis wrodzonych zdolności kobiet do balamucenia, kokieterii i zawracania chłopom w głowie, przy czym dziewczęta — kury wystąpiły w zawsze dobrze prezentujących się na scenie koszulkach nocnych, a chłopami byli kuguliści. To trochę tak, jakby wystawiać